WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK SZESNASTY.

WILNO.
Józef Zawadzki własnym nakładem.
1837.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1837 d. 7 Maja.

Cenzor L. Borowski.

SAMNITOWIE STAROŻYTNI I NOWOŻYTNI.

Prowincya Molizy jest starożytne Samnium. Należy ona do jednéj z okolic najwięcéj zaniedbanych i najmniéj znajomych królestwa neapolitańskiego. Sciśniona między Apulią i Abruzzą, dwakroć przerznięta rzeką Biferno, z jednéj strony otacza ją łańcuch gór Matezy, z drugiéj skrapia morze adryatyckie. Grunt niewdzięczny, chociaż Mateza jest natury wulkanicznéj. Wygasła od niepamiętnych wieków, jednak jéj dawna siła obudza się jeszcze w częstych trzęsieniach ziemi. Ztąd nosi ta prowincya straszne imie

ziemi drżącéj (*terra tremente*), które jéj bojaźń nadała.

Tamto, w tém wązkiém gór przestworzu, na tych nagich skałach, na tych dolinach zniszczonych tylu okropnémi zmianami przyrodzenia, zrodziła się, wzrosła i skonała republikańska konfederacya Samnitów. Zahartowani w zaciętości, jak nowożytni Szwajcarowie, sami jedni opiérali się Rzymowi, i prawdziwe gerillasy starożytności, przez sto lat utrzymywali, bez wojska, bez sprzymierzeńców, bez wodzów, jak sami powiadali przed Annibalem, chwalebną walkę niepodległości włoskiéj przeciw potędze rzymskiéj. Z nimi na starożytnym półwyspie, to wszystko zaginęło, co tylko było narodowém, uosobnioném; wściekła wojna już nie doznawała żadnego oporu; ze wszech stron wybuchała, i wielka śrzódwaga z ziemi italskiéj przechyliła się na odległe państwa. Upadek związku samnickiego tém był dla Italii, czém poźniéj dla Grecyi rozwiązanie ligi achajskiéj.

Znamy tylko wielkie drama odporu Sam-

nitów z Tytusa Liwiusza, to jest, źle go znamy, bo hufce rzymskie nie zawsze tam dobrą odegrywają rolę, świadek wąwozu Klaudium, oraz pobłażający swoim starożytny dziejopis *zwycięztw i podbojów* państwa rzymskiego, stara się jego klęski w cieniu ukrywać. Trzeba więc cudownéj przenikliwości prawdy, dziwnie głębokiego pojęcia historyka, dla rozwikłania rzeczywistości z pośrzód jéj miłych baśni, i zadość uczynienia każdemu, podług jego czynów. *Vae victis!* Potomność dla nich nie jest sprawiedliwszą od teraźniejszości; filozofija postępu, jest jeszcze filozofiją historyi; potwarz albo milczenie postępuje za zwyciężonymi w przyszłość, i siada na ich mogile.

Niebuhr, ten zuchwały prorok przeszłości, kusił się na wielki akt prawdy, tworząc nanowo historyą włoskich narodów, nie już na podaniu zwycięźców, ale na pomnikach zwyciężonych. Kolos wspaniały wzniósł ofiaróm. Zupełnie uzbrojona starożytność wyszła z jego wszechwładnéj głowy; ten nowy Jowisz, wywiódłszy ją i

świat z nicestwa, zdaje się bydź obłąkanym, olśnionym tém nowém dziełem, jeszcze powątpiéwa i jemu dadź wiary nie może.

P. Miszele (*Michelet*), uczony, głęboki i szczéry, zdaje się mieć u nas powołanie daléj ciągnąć poprawcze dzieło. Nie wiém jakie źrzódła, jakie nieświadome podania, przyszłość obiecuje nauce historyi; lecz jeśliby kiedykolwiek poruczoném zostało ręce biegłéj i uczonéj odgrzebać wszystkie te wieki zmarłe, nadadź im wszystkim życie, tak, żeby skréślić zupełny obraz téj długiéj walki starożytnéj Italii z Rzymem, byłby to pomnik największéj ceny; lecz takie są trudności, że genjusz i czas nie mogłyby temu wystarczyć.

Pełen więc chwały dawnych Samnitów i tych męzkich pamiątek, które zawsze dotykają moje serce i które czczę wszędzie, szedłem szukać grobowca walecznych w starożytném Samnium, wezwawszy cienia Spartaka w gajach Lukanii i Sykanjana Decjusza na górach Sycylii.

Lecz jak tam, równie i tutaj moje oczekiwanie było zawiedzione. Królestwo rzymskie przekroczyło Samnium, jako też Lukaniją i Sycyliją, i wszędzie po sobie głębokie ślady zostawiło. Pokonawszy przyszłość, jeszcze panuje na zwaliskach, i na nich ostatnie jego imie czytamy. Napróżno szukałem, między zwaliskami bohatyrskiego Sepinum, gruzów Herennjusza i Teleza; śrzód głogów i cierni znajdowałem tylko szczątki Klaudjusza, lub Konstantyna. Wszędzie też same badania i taż sama niepewność. Nigdzie żadnego żalu, żadnéj pamiątki podbitym; wszystko, aż do ich imienia, zrzymianiało.

Z ich prawdziwéj wielkości i pomników pozostał tylko długi szereg martwych imion zwanych cyklopowémi, zagrzebanych w grobowcach Bowjanum, tego miasta niegdyś tak kwitnącego i tak bogatego, którego imie nosi nędzne dzisiejsze Bojano. Ogromne te bryły ciemne, od wieków nie doznające wpływu światła, spoczywają tam jak i wiele innych niemych zabytków silnéj architektury

starożytnych Samnitów. Tam to myśl ich żyje; tam jest wyryte ich imie.

Zawiedziony od przeszłości, zwróciłem uwagę na teraźniejszość, i przechodząc od śmierci do życia, usiłowałem wykryć rysy ojców w nowożytnych Samnitach, bowiem ruiny przede mną ich się wypiérały.

Nowożytny Samnita ubogi i wywołaniec, zimą w chatach nadwątlonych trzęsieniami ziemi, obnażonych z dachów nawałnicami, lecz pełen uszanowania dla umarłych i czci przodków, mówi z dumą o ich bogactwie i o ich męztwie bohatyrskiém. Osładza przykrą obecność przeszłością, która go uszlachetnia i pociesza, a wejrzenie jego zdaje się przemawiać: «My ubodzy, lecz ojcowie nasi byli możni; my w kajdanach, lecz oni byli wolnymi;» gdyż, niestety! nie ma już dla niego ani bogactwa, ani wolności. Osady te odrodne, otoczone górami, zdaje się, że tylko odziedziczyły po swoich pradziadach surowość oporu, a ich całe życie jest tylko walką przytłumioną, lub otwartą przeciw nierozsądnéj i okrutnéj władzy, która niémi za-

rządza. One bynajmniéj nie są podległe; a ta publiczna odwaga, reszta żyjąca potężnego ludu, dałaby się jeszcze odzyskać, gdyby jéj prawa szukać umiały; lecz w głębi dusz zasypia, albo się gubi na próżnych i krwawych utarczkach.

Nowożytni Samnici są obyczajów grubych i prawdziwie okropnych; i gdy już nie ma dla nich pola wojny, ani fortec, są jeszcze góry i lasy. Najczęściéj też one ukrywają zemstę i rozboje. Ta dzika energija, która w jednym wieku stanowi naród możny, w innym utrzymuje tylko zgraje złoczyńców. W tych okolicach tak częsty rozbój, z zepsutego i gwałtownego rządu pochodzi. Jest on jedyną otwartą drogą do niepodległości, często nawet do sprawiedliwości osobistéj, zewsząd bowiem niepodległość jest wygnana, jako burzliwa, a sprawiedliwość oszukana przez policyą, klęczy u stóp władzy. A przytém nędza, ta wielka doradzicielka zbrodni, jaśnieje tam wszystkiémi ponętnémiułudami; ona tam dopełnia i upoważnia morderstwa.

Zarysy odwagi osobistéj i przemocy okrutnéj, które zgromadziłem, w téj prowincyi są niezliczone. Kilka z nich tylko przytoczę. Są to czyny wymowniejsze nad wszystkie wyrazy, a niektóre tak są zdumiewające, iżby mnie samemu potrzeba było zupełnéj powagi, *widziałem*, żeby im uwierzyć.

W czasie mojéj podróży Matezę pustoszyła banda, któréj wódz naczelny nieodkryty od lat dwudziestu, oskarżonym jest o więcéj niż cztérdzieści zbrodni. Mniéj tylko pięcią obwiniają sławnego rozbojnika rzymskiego Garbarone, dzisiaj zostającego w więzieniach Civita-Vecchia, dokąd podróżni idą go oglądać, jako przedmiot ciekawości. Samnita ów dniem przedtém zatrzymał przez zemstę księdza i spalił go na górze.

Ten śmiały bandyta najgrawa się ze wszystkich sideł; lecz oto tajemnica jego długiéj bezkarności: niektórzy mieszkańcy sąsiedniego miasteczka Cusano, radzi zapewne, że ich nabożnictwo ma zawsze uzbro-

jone ramie, zawsze pnginał zaostrzony, w kraju, w którym miecz i oko sprawiedliwości zasypiają tak często, obstawali za zbójcą, i własnym go płaszczem pokrywali.

Jeden z moich gospodarzy widział obok siebie zabitego swego dozórcę; gdzieindziéj podobną zemstę doniesionoby sądowi, lecz tam nie dają temu wiary i daléj robią swoje. Gospodarz mój znał zabójcę, ale milczał: bo jego życie na tém zależało.

Nigdzie te sceny straszne nie były tak liczne, jak w powiecie Larino.

Larino, jest to liche miasteczko strącone z wyniosłości trzęsieniem ziemi i pogrążone w pewnym rodzaju niezdrowych studni. Okropnie też ono ucierpiało w czasie napadów. Niedawno jeszcze zawołana banda swoje łupieżstwa, aż do bram jego, posuwała. Oto jakiémi sposobami sędzia-opowiadacz, któremu winienem te szczegóły, przełamał i zwyciężył tę klęskę.

Wchodząc on w obowiązek znalazł gromadę pod dowództwem jakiegoś naczelnika z przyległéj prowincyi Awelino, i, choć już

rozdrobiona, strachem kraj nabawiała. Czterech członków tego szkodliwego towarzystwa było z powiatu osad albańskich (*). Sędzia wszedł w stosunki z ich rodziną, i udało mu się poróżnić gromadę. Zabili oni naprzód swojego wodza, potém podczas snu sami siebie mordowali, a to wszystko z sędziego poduszczenia. Dwóch z nich tylko uszło téj rzezi, i ci stawili się dla odebrania nagrody za krew i zdradę, gdyż im przebaczenie było obiecane. Zostali jednak na śmierć skazani, jak powiadano, tylko dla porządku, i czekano jeszcze ułaskawienia od króla; leczbym się wcale nie dziwił, gdyby byli straceni na rusztowaniu, tak bowiem tam najświętsze przyrzeczenia policyi są mało cenione.

Tragedya ta odbyła się w przyległym lesie, w Sierpniu 1829 roku. Można się domyślić, co za wrażenie zrobiły takie przykłady na moralności publicznéj.

(*) Osady albańskie w królestwie neapolitańskiém końca piętnastego wieku sięgają. (*Przyp. autora.*)

odmówił miejsca dla Fenelon'a między dobroczyńcami Francyi, ktoby nie uznał, że obfitych wyobrażeń ziarna, ten wielki pisarz rzucił na los szczęścia, jakby na jałową ziemię, w pośrzód pamiętnego wieku Ludwika XIV; ktoby nie widział, że wyobrażenia ekonomiczne ośmnastego wieku, źrzódła wynikłych odmian podczas rewolucyi, sięgają pism jego i Vauban'a, nie oddałby jemu zupełnéj sprawiedliwości. Uważaj Walter-Skott'a, jako czynnego i pożytecznego moralistę, jako twórcę cnót i moralności, a tém samém pracy i bogactwa. Porównaj jego wpływ praktyczny z pływem moralistów systematyków, nawet professorów nauki moralnéj, mających najpiękniejszą i najłatwiejszą rolę do odegrania, a którzy z wysokiéj mównicy wykładają swoim słuchaczóm prelekcye powagą Boga uświęcone. Prelekcya ta, umieszczona w mowie pisanéj lub wyrzeczonéj, tylko moc posiada drugiego stopnia; lecz niechże ją zamienią w dramat, niech ożyje w osobach, niech przybiérze rzeczywistość w scenach pełnych

zapału, które genijusz uniesmiertelnia, ujrzysz jaka będzie jéj władza!

Alboż to nasze uniwersytety, lub duchowieństwo, od połowy wieku, popularną moralność złagodziły? — Nie; to berło, ta rószczka czarodziejska do nich już nie należy. W szesnastym, i aż do końca siedmnastego wieku, od czasów Lutra, Knox'a, Bossuet'a, godność ta umysłowa, utwiérdzona przewagą wyobrażeń religijnych, ciągle zostawała w ręku duchownych. Z innych ją wyrwano; dzisiaj prawdziwe kapłaństwo chyba jest gdzieindziéj; rzeczywista wartość kazań utraciła w całéj Europie część swojego znaczenia, z przyczyny nadużyć, do których się nieraz przyłożyło duchowieństwo, i coraz bardziéj upowszechniającego się wyobrażenia, iż dawne apostolstwo zamieniło się w rzemiosło i w niejakiś rodzaj przemysłu. Oprócz tego, powaby formy, czyniące trudnémi wszystkie umysły próżne i zamiłowane w roskoszy, nie dozwalają ani mowóm Blair'a, ani Massillon'a, ani teoryom oschle rozwiniętym przez Lock'a pociągać wszystkich umysłów, panować nad

aniżeli nienawiści. Bezkarnie bili mężów, porywali żony i posuwali swoję zuchwałość do drzwi łamania i napadów nocnych na domy obywatelskie.

Naostatek pospólstwu zabrakło cierpliwości. Nie miało ono żadnego widoku niepewną zemstę powierzać sądowi; krzywdy były osobiste, zemścić się też osobiście wypadało. Nie napadano na Ruggierów z przodu, ale się w cieniu zaczajono. Jeden z nich wciągnięty do zasadzki z tyłu, został zabity od wystrzału, a drugiego zaduszono w karczmie.

Trzeci schronił się do budy pewnego szewca u samego podnoża starożytnego zamku feodalnego; w niéj się obwarował i sam jeden przez trzy dni walczył z całą potęgą gminu. Jeszczeby się dłużéj opiérał, gdyby szewc, upatrzywszy porę ucieczki, nie uniósł z sobą reszty jego *amunicyi*. Zdradzony i bez posiłków, ostatni z Ruggierów wpadł w śrzodek tłumu i otworzył sobie przejście heroiczną odwagą. Już miał zemknąć, aż wtém zabójczy wystrzał trupem go położył.

Wyszukiwano zabójców bardzo niedbale; niektórzy z nich tylko zostali lekko ukarani, innych wcale nienapastowano, a ta akcya niesłychana osobistéj zemsty, ta szkaradna zniewaga wszelkiéj zasady społeczności, działa się 1810 roku, pod dynastyą napoleonowską, pod francuzkiémi prawami.

Zwyczaj ten wchodzenia w prawa przyrodzone człowieka i wymiérzania sprawiedliwości własnémi rękami, tak jest zadawniony, iż go wszędzie napotkać można. Spór o las między dwiéma wsiami prowincyi, Campoliete i Ripabottoni, od wieku prawie poróżniał ich mieszkańców; wreszcie znużeni opieszałością sądu, wyzwali się na ręce śrzód lasów i przez dzień cały walczyli. Nie brakło tam ranionych i zabitych. Każde miasto, wieś każda ma podobną kartę w rocznikach swoich.

Te wszystkie sceny były mi opowiadane przez ludzi na tych samych miejscach, gdzie oni grali rolę działających, lub tylko byli widzami. Mięszanina ta siły i zdrady, podejścia i odwagi, zdaje się znamionować

tych mieszkańców mocą duszy niepospolitéj. Pochodzi to wszystko z dzikości i dawnej władzy. Zaiste, tu stykają się przeciwności, bowiem nowożytni Samnitowie, tak blizcy, pod niektóremi względami, przyrodzenia, pod innémi są zepsuci z niedostatku cywilizacyi. Lecz ja utrzymuję, że w nich są zarody mężnego ludu. Zwierzchność powinna wszystkie te siły wyniszczone lub szkodliwe, na pożytek społeczności obrócić. Kierować tylko naturą, ale nie gwałcić jéj, potrzeba.

Moi gospodarze, wszyscy przełożeni i wyżsi urzędnicy kraju, widząc, żem wielki interes łączył do ich opowiadania, radzili mi udadź się do pewnego człowieka, który piérwszą grał rolę w czasie wytępienia Wardarellów, najliczniejszéj i ze wszystkich najstraszniejszéj bandy, jakie tylko mieszkańców niszczyły. Człowiek ten nazywa się Mikołaj Kampofreda, mieszka w Porta-Cannone, wsi przyległéj Termoli. Zwróciłem więc moję pielgrzymkę do niego.

Wychodząc z Larino, napotkałem wesele

staréj kobiéty, przed ołtarz prowadzącéj już szóstego męża, daleko młodszego od siebie. Zaiste, mało pochwalam te prawa kłótliwe, które przeciskają się do ogniska domowego i mięszają wewnętrzne życie obywatela; lecz na widok tak dziwnego związku, wyznaję, iż poklaskiwałem wyrokowi rzeczypospolitéj genueńskiéj szesnastego wieku, który mi wówczas przyszedł na pamięć. Szło także o małżeństwo podobnego rodzaju; lecz notarjuszowie zaprzeczali, jak dekret powiada: *dla tego, że panna jest starą, a pan kawaler za nadto młody.*

Od weselnéj drużyny przeszedłem do grobów. Wchodząc coraz wyżéj na wzgórze starożytnego Larino, postrzegłem się na ruinach dawnego miasta samnickiego. Niegdyś stolica Frentanów, Larinum było jedno z najważniejszych miast konfederacyi. Slady amfiteatru, łazienek i innych zwalisk, mniéj więcéj wyraźnych, mniéj więcéj kształtnych, w połowie zarosłych powojem i krzewami: oto wszystko, co się po niém zostało. Nagle jednym oka rzutem przejrza-

łem te zimne świętości, albowiem one nie miały na sobie żadnego piętna wdzięku, ani wielkości, i to com widział, zdawało mi się zbyt powszedniém i dosyć miernéj starożytności.

Wykopują tam jednak napisy, zbroje, kamienie drogie i sprzęty filigranowéj przewybornéj roboty. W ostatnim nawet wieku odgrzebano Wenerę z alabastru, którą nazywano piękną; lecz mieszkańcy obrażeni widokiem nagiéj dziewicy (*d'una femmina nuda*), kamienowali ją i w proch obrócili, z zapałem apostoła wywracającego bałwany. Podobnéj zagubie wiele innych zabytków uległo.

Podanie samnickie, zachowane w niektórych książkach antykwarjuszów, zaświadcza, że u Frentanów podobne lampy do ognia Westy i do lampy chrześcijańskiego ołtarza, poświęcone cieniom umarłych, nie gasły nigdy; zasilane płynem, który je ciągle utrzymywał, swoim blaskiem wiecznie oświecały grobowe ciemności. Narody te filozoficzne, tym poetyckiém godłem, widno, że chciały

uobecnić materjalnie dawną naukę, o nieśmiertelności duszy.

Równie pamiętni użytecznych czynów, jak czci umarłych, oni wystawili posąg współrodakowi, który piérwszy u nich zaczął uprawiać winnicę. Jest podobieństwem, że Frentanowie mówili tym tajemniczym językiem Osków, daleko poźniéj wprowadzonym do innych dyalektów, a który w odłamkach daje się postrzegać w piérwiastkowym łacińskim. Pieniądze ich za godła nosiły: morskiego raka, orła, lub centaura, z wyrazem osko-łacińskim LADINOD.

Podówczas, kiedy byłem zajęty ciemnémi podaniami starożytnego Samnium, dzieci zupełnie obnażone przed słońcem igrały na bruku z białego marmuru, niedawno odkrytego pod powojem i barwinkiem. Szczęśliwa wesołość tych małych dzikich odwołała mię znowu do rzeczywistości i przyrodzenia. Pokój umarłym! — Zwróciłem moje oczy na naturę, jaką Bóg obdarzał. Przestronne pola laryńskie, zwiedzone i uświęcone przez A n n i b a l a, ciągną się daleko,

a tam jeszcze daléj równiny Pullii, otoczone, jakby wstęgą szafirową, od morza Adryatyckiego, z którém się one mięszają. Góra Gargano wzbija się z łona dolin, jak wyspa z morskiéj topieli, i błękitnieje nad horyzontem.

Przez dąbrowy i kamieniste ścieżki zstąpiłem na płaszczyznę Biferno, głębokie ustronie, gdzie jeszcze krąży przestrach zabójców. Sam jeden długo szedłem zaroślami. Żadna twarz człowiecza nie ożywiała pustyni; niekiedy rzadkie i dzikie trzody zmykały przede mną, ginęły w gęszczach, i znów na pustynię cichość powracała.

Nakoniec przybyłem do Porta-Cannone i zaszedłem do Mikołaja Kampofreda, spółtowarzysza rozbojników.

Jest to od stóp sześciu zapaśnik, silny jak Herkules, a łagodny jak baranek. Uwiadomiony o zamiarze moich nawiedzin, zaspokoił moję ciekawość, udzielając mi o Wardarellach wszystkich wiadomości, oddawna żądanych. Pozwolę jemu samemu opowiadać, bez załączenia odmian głosu namiętnego i oblicza jego rysów:

«Wardarelli, mówił on, byli już znani ze swoich zbrodni. Od lat dziesięciu niszczyli i zabijali. Gromada ich powiększona przez rojalistów i karbonarów, związkowych przeciw Francuzóm, natenczas panóm stolicy, wielkich dopełniała rozbojów, i wkrótce liczyła w sobie cztérystu ludzi. Jenerał De Trez wystąpił na ich spotkanie na czele korpusu lekkiéj piechoty. Francuz ten udawał małego Manljusa, a mając prawo miecza, rządził się wojennémi prawami. Zabijajcie ich (*fate* les *fucillare*), był to wyraz jego wyroku, wciąż go powtarzał swoim zepsutym włosko-francuzkim językiem. Wardarelli natarci z blizka i zwyciężeni na wszystkich punktach, cofnęli się do Sycylii, szukając wsparcia u naszego starego króla Ferdynanda, którego i osoba i chwiejąca się korona, pod opieką Anglików zostawała; lecz 1815 roku nazad powrócili pod dowództwem jakiegoś Gaetano. Tą razą było ich tylko dwudziestu, ale wszyscy dobrze uzbrojeni i lepiéj odziani.

«Czy to zostawali pod władzą Francu-

zów, czy prawych królów, jak przedtém, zawsze ogniem i mieczem pustoszyli. Podpalali folwarki, zabiérali, zdziérali właścicieli, a główny poborca mógł ci o tém mówić, gdyż zatrzymany od nich w *Val di Bovino* i zaprowadzony do lasu, musiał im zaliczyć pięć tysięcy dukatów.

«Rząd do nich posłał dowodźcę z oddziałem, złożonym ze stu dwudziestu ludzi. Cały oddział wpadł w ręce Wardarellów; żołnierze nazad byli przez nich odesłani, z oznaką czci wojennéj i po piastrze na osobę, a dowodźcę nikczemnego z hańbą największą wypędzono.

«Tu zawód się mój poczyna.

«Koło tego czasu Wardarelli mojego ojca zamordowali!» daléj mówił Kampofreda, i dwa razy powtórzył te okropne słowa, ciskając płomienie swoich dużych czarnych oczu. «Oni zamordowali mojego ojca, mości panie! a maxyma nasza, krew niech się krwią zmywa (*sangue lava sangue*). Moja sprawa była moją własną, nie oddawałem jéj pod wyrok trybunału, gdyż byłaby to

największa podłość: syn powinien zemścić się za swojego ojca. I cóżby wtenczas sprawiedliwość zrobiła, kiedy już banda swoich zbiérała żołnierzy i z dowodźcami szeptała?

«Wsiadłem na koń, i latałem po placu wołając: — Oni zabili mojego ojca, za mną Albańczykowie! — Wielu poszło mojémi ślady, i biegliśmy na wojenną wyprawę.

«Tym razem nie byli to żebracy (*lazzaroni*), i przestrach ogarnął gromadę. Długośmy się darli napróżno przez lasy i zarośle; rozbojnicy pierzchali i chowali się przed nami. A jednak powinienem był zemścić się za mojego ojca, jak oni rozlewali krew jego, nawzajem ręka moja powinna była rozlać ich własną. Postrzegliśmy ich jednego wieczora; lecz uciekali czwałem do gęstwin lasu, i tak się od nas wymknęli.

«Nie mogąc już ich dogonić, postanowiliśmy na nich zrobić zasadzkę. Umówiliśmy się więc z mieszkańcami Ururi, którzy od nich wiele znosić musieli. Nasza sprawa była z ich wspólną, połączyli się więc z nami, żeby ich wytępić.

«Działo się to w Kwietniu 1818 roku. My ukrywaliśmy się we wsi, i w nocy, kiedy niebo było zaćmione, mieszkańcy Ururi zwabili ich do siebie. Banda przybyła konno i zsiadła na placu. Otoczyliśmy ją i ogień wszczął się pośrzód ciemności. Huk broni ręcznéj trwał z obu stron czas niejaki; lecz wreszcie zniecierpliwieni, rzuciliśmy się do nich na ciosy nożów i bagnetów. Wkrótce wmięszały się niewiasty i dzieci, każdy chciał bydź uczęstnikiem rozruchu. Noc prawie całą walczono, a od rana szczątki rozbitéj gromady ścigałem aż do granic Pullii.

«Po téj wyprawie do Porta-Cannone powróciłem. Zadowolony zostałem, bom się zemścił za mojego ojca!»

Tak mówił Kampofreda, podobny do centaura Danta, który pędzał po piekle tych,

Che fecero alle strade tanta guerra (*).

W tym wielkim akcie nierządu społe-

(*) Piekło. Pieśń XII.

cznego, to najbardziéj zadziwia, że on został nieukaranym, a nawet nie był pociągnięty do śledztwa. Policya na to chciała wytężyć swoje oczy, ale złoto i klejnoty Wardarellów, w porę udzielone, w inną je stronę zwróciły. W saméj rzeczy, ona się nie gniewała, że od nich się uwolniła bez żadnego kosztu; bowiem bynajmniéj ją nie zawstydzało wchodzenie z nimi w układy. Jednak takiém postępowaniem nie chciała na siebie ściągnąć pozorów, i zabójstwa dopełnione w Ururi, z przyczyny działu zdobyczy, wkrótce jéj nastręczyły zręczność pomszczenia się własnego niedołęztwa na wrogach Wardarellów.

Kampofreda był oskarżony o karbonaryzm, i 1821 roku umieszczony na liście wywołańców; lecz powrócił do łaski i tylko co został mianowany dozórcą wód i lasów. Ja mu o tém piérwszą wiadomość przyniosłem.

Owoż czyny wczorajsze. Mam je, jak tylko można było, z najpiérwszéj ręki, i jeśli nie podaję za przykład do naśladowa-

nia, udzielam ich dla wiadomości czytelnika. Przykro jest, bez wątpienia, w takich tylko scenach, szukać śladów dawnéj odwagi narodowéj. Wszakże zdaje się, iż w nich sobie obrała schronienie; jakoż wyznam przytém, iż w saméj nawet srogości tych obyczajów instynktowych i gwałtownych, znachodzę, sam nie pojmuję, jakąś dziką wielkość, która przeraża i zdumiéwa.

Kiedy się na myśl przywodzi, że to się dzieje w naszych oczach, przed naszémi drzwiami, bowiem Italija graniczy z Francyą, prawie niepodobna temu uwierzyć. Lecz takiém jest to dziwne królewstwo, tak czarujące powabami, tak obfite w sprzeczności, iż zdaje się bydź przeznaczoném do oddalenia wszelkiego wyobrażenia postępu i uiszczenia naszych najmilszych nadziei, cywilizacyi europejskiéj. Jednak można tam widzieć odwagę, któréj samo tylko użycie zasmuca, a któréj źrzódło i początek są czyste. Nadto, jakim jest piérwszy zabójca? jużeśmy go widzieli; i łatwoby dowieśdź, że wszelkie złe na dole, pochodzi z góry!

Rząd zepsuty podobny jest do amerykańskiego drzewa, którego cień o śmierć przyprawia. Biada, kto pod niém szuka spoczynku!

Tak więc zajęty okropnémi powieściami, postępowałem ku Termoli, o którém jest podanie, niewiadomo na czém oparte, iż w niém Platon przemieszkiwał.....

(*Ch.* Didier. — *Revue encyclopédique.*)

ERAZM ROTERDAMSKI I WIEK JEGO.

Chciwie wypatrujący nowości próżniacy londyńscy, tłumnie biegą dzisiaj oglądać z uniesieniem w jednym domu na *Bond Street* (*) rzeźby na drzewie, roboty prawdziwie podziwienia godnéj, które niegdyś wyszły zpod dłóta Brustoliniego. Zrobił on je do kościoła SS. Jana i Pawła w Wenecyi, gdzie im się podziwiał Montfaucon w roku 1702. Wystawiają one

(*) Jedna z ulic najgromadniéj zwiedzanych w Londynie.

processyą heretyków okutych w łańcuchy, chłostanych rózgami, od djabłów dręczonych; Luter i Kalwin zajmują w téj karykaturze, rzniętéj na drzewie, ważne miejsce; widzieć się tam także dają Melanchton i Bucer, niemniéj jak Wilhelm de Saint-Amour, tak nienawistny mnichóm, których prześladował; i co najdziwniejsza, Katolik Erazm gra tam także niepoślednią rolę.

Całą jego winą albo raczéj występkiem było, iż okazywał rozum w wieku szałem obłąkanym, iż zachował to umiarkowanie, jakiego nikt nie miał za jego czasów, iż wyrzucał reformatoróm ich zapędną zawziętość, a mnichóm ich wady i zdrożności; iż szedł drogą wiodącą między dwiema przepaściami, ustrzegłszy się od upadku. Szlachetny charakter, umysł żartobliwie szydzący i potężny, dusza, którą o obojętność obwiniano, iż nie chciała mieć udziału w niesprawiedliwościach współczesnych! Obdarzony wszechstronnością podobną do wolterowskiéj, Erazm swych zdolności umy-

słowych używał nie dla jątrzenia, lecz ku powściąganiu zawziętości stronnictw; on był jak Montaigne, Gibellinem dla Gwelfów i Gwelfem dla Gibellinów. Żywot Erazma starownie napisany przez człowieka, któryby godzien był go pojmować, przedstawiłby zupełne panorama wieku szesnastego: nie było w téj epoce ruchu umysłowego, sporów, w którychby to imie świetnie nie występowało. Z tego punktu śrzodkowego, jak z wyżyny, do któréj gwar i zgiełk obozowy nie dochodzą, widzielibyśmy roztaczające się wszystkie tabory nieprzyjacielskie, wszystkie walki cząstkowe. Zająć stanowisko, z którego się Erazm na rzeczy zapatrywał, byłoby to wziąć rozbrat z namiętnościami i silnie ze światłem sympatyzować.

Jeżeli zażarte stronnictwa obwiniają Erazma, miotając nań klątwy, z drugiéj strony przydadź należy, iż ludzie mądrzy wszystkich odcieni, nie przestawali go uważać za brata. Protestanci umiarkowani mówili: «Erazm jeden z piérwszych przeważnie ude-

rzył na chciwość i obżarstwo mnichów, na widoki nieodłączne od nadużyć dworu rzymskiego, na niedorzeczne przesądy gminu; podzielał on wszystkie mniemania sprzyjające reformacyi; styl łatwy, przyjemny i dowcipny, w który myśli jego były przyodziane, puścił w krążenie, między wszystkie klassy, odradzające żywotne soki. Jeżeli głos jego nie był tyle potężnym, ani deklamacya tak gwałtowną, jak niektórych jego spółczesnych; jeżeli nie miał na umysły wpływu wszystko niewolniczo pokonywającego, niemniéj jednak działanie jego łagodne i przenikające, było powszechném i silném. Zawsze liczmy go do rzędu najszlachetniejszych przywodźców wielkiego zastępu, walczącego w szesnastym wieku.»

«Zważmy,» powiadają z drugiéj strony rozsądni Katolicy, «co za różnica oddziela tego znamienitego męża od trybunów gminu, którzy kościół burzą skołatali! Erazm nigdy nie chciał gwałtownego oderwania się od wiary powszechnéj; czuł on wartość jedności; pojmował, iż wiara, skoro nie jest

powszechną, przestaje bydź wiarą. Wskazał on zaradcze śrzodki dla zapobieżenia nadużyciom, i nie chciał, aby się uciekano do odjęcia członka, kiedy chorego można było ocalić, z pomocą lekarstw łagodnych, bez najmniejszego niebezpieczeństwa. Nie chcąc, iżby tknięto się toporem drzewa w przeciągu wieków szanowanego, życzył, aby je starannie oczyszczono i aby przyszłe pokolenia mogły spoczywać pod gęstémi liśćmi jego rozłożystych konarów. Nie przestał więc bydź jednym z naszych: nie można poddawać w wątpliwość jego katolicyzmu.»

Poznać z gruntu i w prawdziwém ukazać świetle to nadzwyczajne położenie człowieka, do którego mędrcy wszystkich stronnictw, jak do swego, odwołują się, a zapaleńcy wszystkich stronnictw od siebie odpychają; dadź poznać i ocenić wzniosłość i szlachetność takiego położenia, byłoby piękném dziełem; lecz nikt go nie dokonał. Sam nawet Robertson historyk, którego widoki są przestronne, jeżeli nie głębokie, nie mógł

w obszérnym obrazie, przez siebie skréślonym, naznaczyć prawdziwego miejsca jednemu z mężów najznaczniejszych owego wieku. Erazm stawił się przed jego myślą jak człowiek uczony, nie zaś jak silnie działająca potęga. On mu nie daje żadnéj znaczącéj roli, mężowi, który wykonywał najpiękniejszą rolę, wśrzód tylu osób wybitnie odznaczonych.

Materjałów do biografii Erazma mamy mnóztwo; one, nade wszystko, znajdują się w jego listach łacińskich, przemowach i w jego dziełach, zawiérających rozmaitości. Właśnie ta obfitość materjałów i ich początek, przyczyniają biografowi największą trudność. Mylonoby się, jeśliby brano za istną prawdę wszystko, co Erazm mówi o sobie. W epoce, kiedy sztuka stylu była całkiem jeszcze nowym śrzodkiem potężnego działania, umysł miły i zalotnie wdzięczny znajdował przyjemność w pisaniu nic nieznaczących rzeczy, w swawolném popisywaniu się, w traceniu nieprzeczerpanéj i urocznéj siły na fraszki, w gromadzeniu

dla własnéj pociechy najdowcipniejszych i najniedorzeczniejszych przesadzań. My więcéj zbliżeni do obyczajów dwóch ostatnich wieków, mielibyśmy brać za rzeczywistą prawdę listy Walpoll'a, pamiętniki Hamilton'a, *Vert-Vert* Gresset'a, swawole Prior'a, i ów powszechnie znany list, w którym Pani de Sevigné mówi o małżeństwie córki brata królewskiego? Pięknieżbyśmy poczęli, gdybyśmy brali za czystą prawdę wszystkie te zalotne wdzięczenia się języka? Erazm, którego umysł delikatny lubił podobny rodzaj żartowania, nie przestaje poetycznie przesadzać w swych listach, swych chorób, ubóztwa, jałmużn, o jakie się doprasza, nieszczęść swego życia, przygód przy rozbiciu się na lądzie i morzu, wstrętu od ryby i swych przypadków wszelkiego rodzaju: opisanie jego znudzeń jest ćwiczeniem się w stylu i w myśli. Umysł zarazem lekki i przenikający, cierpko rażący i łagodny, wielki muzyk na słowa, artysta stylu wytwornego i nienaśladowanego, on nie mógłby się powściągnąć od śmiechu,

gdyby, wróciwszy na świat, ujrzał swych objaśniaczy, jak Jortin np. dosłownie w prawdziwém znaczeniu bierze ubolewania w jego listach i zapisuje, jak słowa Ewangelii, jego krotofilne amplifikacye, już to o ćmie pcheł pokrywających papiér, już o omdleniu, w jakie wpadł, gdy musiał przez kwadrans czekać na opoźniony obiad; dalćj o frasunkach dla braku pieniędzy. Erazm przydałby przewyborny dyalog do swych nieporównanych rozmów: *o ludziach poważnych nieznających się na żartach.*

Oto widzimy rozpoczynające się wielkie drama teologiczne: Luter, w niém przedstawia ścisły rozbiór; Karol V, władzę; Henryk VIII, namiętność; Franciszek I, wojnę; Leon X, sztuki. W téj scenie zachwycającéj nie widzimy tylko przedstawionéj Mądrości. Lecz i ona wystąpi, jeżeli nam ukażą Erazma i jego wpływ spokojny. Nie traćmy więc z uwagi tego cuda dokonywającego pióra, które umieścić należy obok miecza Franciszka, berła Henryka, korony Karola, kapelusza kardynalskiego

Wolscja i tyary Leona. Wiémy, iż epoka jest burzliwą, iż wojska i zbrojne zastępy uderzają na siebie, iż gromy Watykanu ryczą, że głos Lutra grzmi, że mnisi i reformatorowie na wyścigi ubiegają się w gwałtownościach i miotaniu na się złorzeczeń. Któż baczne zwróci oko na tego odosobnionego męża, jakby pustelnika, na tego mędrca, którego skromne pomieszkanie nie jest ani celą saxońskiego mnicha, zbrojownią rewolucyjnych pocisków i zemsty, ani przybytkiem i ogniskiem roskoszy, jak pałac Leona? On nie przemawia do namiętności rozhukanego tłumu, nie ma innéj czci nad uwielbianie prawdy i umiarkowania. Skrzyp jego pióra zniknie wpośrzód tego łoskotu politycznego i wojennego zgiełku.

Bez wątpienia. Lecz jak on działa na umysły zdrowe! On się obraca do rozumu, który sam tylko prędzéj lub poźniéj utwiérdza mniemania gminne. Słowo wytworne i wymowne Erazma dało znać ludziom, iż prawdy nie w ostatecznych

sprzeczności ach szukać należy, iż usługi namiętnego powstawania reformatorów wszystkich czasów, trzeba opłacać wielkiémi niebezpieczeństwy: on nauczał jak należało zaprowadzać reformę postępną nadużyć, ulepszanie powolne, lecz pewne, instytucyj ludzkich; podawał naukę, którą się nie dosyć jeszcze wszystkie ludy przeniknęły. Oto pod jakim względem uważać należy erudyta wieku szesnastego, tego teologa, professora, o którym ludzie światowi tak mało myślą.

Na czele wielu wydań jego *Rozmów*, zauważaliście zapewne fizyognomiją Erazma; tę twarz delikatnie ścieniowaną, przezroczenie jasną; ten wyraz jéj tak wybitnie odznaczający się rozumem, przenikliwością, łagodnością. Jego charakter i talent téż samę mają fizyognomiją. Kiedy Europę kołatały burze teologiczne, każde z dzieł Erazma padało na wzburzone wały, jak oliwa na spienione wody, które uskramia. Jeśliby mądrość dana była ludzióm, jeśliby ona mogła stać się udziałem narodów, które namiętności i uprzednie wypadki pociągają,

mniemania Erazma religijne bez fanatyzmu, torujące drogę do przemian bez gwałtowności, umiarkowane bez dowolnego sądu, wolne bez zuchwałego wyuzdania, oddawnaby zdobyły i panowały nad światem; wiele zbrodni nie przytrafiłoby się na nim.

Dzisiaj, po dwóch wiekach, po tylu cierpieniach i walkach, widzimy wznoszący się i promieniejący blaskiem ten wielki obraz pełen spokojności, pogody, szlachetności. Piérwszym przedmiotem, godnym uwagi ciekawych, jaki ci ukazują, skoro przyjedzięsz do Rotterdamu, jest posąg Erazma: drugim dóm, w którym się on urodził: dóm szczególny, stary, z cegieł zbudowany, ponury i ciemny, który się niczém inném nie zaleca dla podróżników, jak pamiątką Erazma. Liczne napisy greckie, łacińskie, hiszpańskie, francuzkie, przywodzą na myśl i uświęcają tę pamiątkę!

Około roku 1460 żył w małéj mieścinie Brabanckiéj (*Sevenborghen*) pewien młody człowiek nazwiskiem Gérard, z ludzi na te czasy mający naukę, podpisek, który

nade wszystko celował pięknością swego pisma, co stanowiło talent znamienity i wysoce ceniony w téj epoce, kiedy sztuka drukarska była jeszcze w kolebce. Zakochał się on w młodéj dziewicy, na imie Małgorzata. Rodzice Gérarda, za oświadczeniem się, ze strony obojga młodych, iż chcieli się pobrać i zawrzeć z sobą szluby małżeńskie, upornie się temu sprzeciwili. Groźby i złe obchodzenie się, jakiego względem nich nie szczędzono, doprowadziły romans ten do naturalnego rozwiązania, jak się zwykle tylekroć powtarza. Małgorzata gotowa zostać matką, udała się ukryć swą słabość do przyjaciół mieszkających w Rotterdamie. Kochanek, któremu groziła sprawiedliwość, zmuszony był ratować się ucieczką do Rzymu, gdzie jego talent i rzemiosło przepisywacza wystarczały na opędzenie piérwszych potrzeb życia. Tymczasem Małgorzata powiła dziecko, urodzone 28 Października 1467 roku. Tém dziecięciem był Erazm.

Gérard, który nie odbiérał wiadomości

od swéj kochanki, jął się uczyć medycyny, w nadziei, iż kiedyś powróci z tytułem doktora i poszlubi swoję narzeczoną. Familija jego zawsze przeciwna temu małżeństwu, przesłała doń listy zmyślone, poświadczające śmierć Małgorzaty. Gérard nie miał na świecie jak jednę nadzieję i tę zniszczono. Po odebraniu téj wiadomości wstąpił on do zakonu i został księdzem. W kilka czasów potém Małgorzata umarła z morowéj zarazy; a Gérard, który w tymże czasie wybrał się do Hollandyi, po swém przybyciu, dowiedział się o podejściu, przez jakie został oszukanym; odebrał on ostatnie tchnienie Małgorzaty i sam zaledwo kilka miesięcy ją przeżył.

Taki jest romans, który poprzedził, że tak rzekę, urodzenie młodego Dezyderyusza Gérarda, który używając potém przywileju, jaki mieli wszyscy uczeni owego czasu, nadał sobie imie Erazma. Niemowlęctwu, po większéj części, wszystkich ludzi wielkich, towarzyszy w histo-

ryi zawsze jakikolwiek romans podobnego rodzaju. Gminne twierdzenie, przypisujące wyższe zdolności dziecióm nieprawym, miałożby bydź rzeczywiście prawdziwém? Pewien uczony wieku siedmnastego Pontus Heuterus, napisał szczególniejszą książkę pod tytułem: *o wolném urodzeniu człowieka (de libera hominis nativitate)*. Jest to dziwaczna dyatryba przeciwko małżeństwu, dyatryba oparta na tém, iż (jak mówi autor) prawność związków, przez swój charakter jednoczący i spokojny, osłabia zdolności umysłowe dzieci w nich spłodzonych. Na poparcie tego twierdzenia przywodzi po większéj części znamienite imiona, z wieków śrzednich, między innémi Erazma, któremu nie waha się przypisywać wyższości nawet kosztem nieszczęścia jego urodzenia.

Mało mamy wiadomości o piérwszych leciech i piérwiastkowych naukach syna Małgorzaty i Gérarda. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, jakiś poczciwy mieszczanin roterdamski wziął na siebie opiekowanie się opuszczoném dziec-

kiem, które znajdujemy w dziesiątym roku w szkole Piotra Winken w Tergou, niedaleko Roterdamu, potém w akademii kwitnącéj w Dewenter w Guilderland. Tam to młody i słynący Erazm miał za spółtowarzysza ucznia flamandzkiego, charakteru łagodnego i spokojnego, który potém został papieżem, pod nazwiskiem Adryana VI. Przyjaźń tych dwóch spółuczniów nigdy się nie zmieniła. Mało jest dzieł Erazma, w którychby na początku nie było przyzwalającego potwierdzenia Adryana. Jemu to uczony hollenderski przypisał pożniéj piękne swe wydanie *Arnobiusa*.

Lecz nie wyprzedzajmy, co do uczonych prac Erazma, który wyszedł z akademii dewenterskiéj, aby wstąpić jak nowicyusz do klasztoru Stein. Ten okrés jego życia zdaje się, iż mu mało dostarczył przyjemnych wspomnień; w klasztorze to Stein, jeśli można wierzyć jego objaśniaczóm, osięgnął on tę znajomość zgłębioną życia i obyczajów mniszych, któréj wszystkie jego dzieła składają świadectwo. Zdrożności

skryte i zmysłowością tchnące klasztoru wieku szesnastego, zdaje się, iż najgwałtowniejszy wywarły skutek na duszę i umysł młodego człowieka. Listy jego, zawiérające liczne napomknienia, odnoszące się do piérwszych czasów jego młodości, nie przedstawują ani jednego życzliwego wspomnienia dla zakonników klasztoru Stein. Jeszcze on był zamknięty w téj ponuréj samotności, kiedy wsławiony grammatyk Wawrzyniec Valla, jeden z tych, co się najwięcéj przyłożyli do podniesienia ołtarza nauk, został obwiniony, przez zgraję zawistnych teologów, iż psuł młodzież ucząc czytać *Wulgatę* w oryginale: «ta zgraja nierozumnych (powiada Erazm, w jednym liście datowanym z tegoż klasztoru) szczekała nielitościwie goniąc w ślad za wyższym człowiekiem.» Erazm wziął stronę Wawrzyńca Valli. Był to piérwszy jego czyn znamienity w literaturze.

Zmęczyło go życie zamknięte i głuche w klasztorze Stein, kiedy nakoniec biskup kambrejski, litując się nad swym przyjacie-

lem, dał mu na koszta potrzebne dla udania się, w celu przedłużania nauk, do kollegium *Montaigu*.

Było to w roku 1496. Ubodzy uczniowie, bez majątku i familii, nie mieli innego przytułku nad kollegium, o którém mówimy. Wszyscy, którzy wychodzili z rzędów ludu i wzdychali do wychowania i nauki, udawali się przebywać w tych ponurych ścianach. Rozdawano tam na pożywienie jaja gniłe i wino kwaśne, o którém Erazm zachował pamięć w swych dyalogach. I professorowie nie więcéj warci byli od wina. Lecz podczas swego pobytu w Paryżu Erazm miał sposobność poznać młodego członka wyższéj arystokracyi angielskiéj, Williama Blount, lorda Mountjoy, który go wybrał za nauczyciela i zawiózł do Anglii. Od téj epoki poczyna się drugie wychowanie Erazma. Jeżeli kollegium Paryzkie i zakłady naukowe w Hollandyi dały mu zasady pierwiastkowe nauk i wiadomości, w Anglii rozpoczął on tę naukę ludzi i to doświadczenie życia, których

wszystkie jego dzieła wybitném są oznaczone piętnem.

W roku 1499 znajdował się on w Oxfordzie i wkrótce potém opuścił Angliją. Prawa handlu i ekonomii politycznéj tak mało natenczas były znane, iż cudzoziemiec nie mógł wywozić z królestwa złota doń należącego. Erazm mocno się użala w swych listach na ten krok obdzierstwa. Oh! jak żałuje dwudziestu sztuk złota zabranych przez celników w Douvres! Worek młodego uczonego był pusty: zaiste, Henryk VII mógł się obejśdź i bez dwudziestu sztuk złota młodego Erazma!

W r. 1501 widzimy go znowu w Paryżu, w Orleanie; w Lowanium w 1502; w Saint-Omer w roku 1503. *Enchiridium militis christiani*, piérwszy wzór dworaka Baltazara Graciana i żołnierza chrześcijańskiego Steele, był napisany w tém ostatniém mieście. Już Erazm obrał stanowisko, postawę i utworzył swój systemat. Ta doręczna książka katolicyzmu prawdziwego, wykłada wszystkie zasady, jakie

pisarz winien był poźniéj rozwinąć z taką wymową. Erazm jakby uprzedzając zbija zarzuty, których jeszcze Kalwin i Luter nie przywodzili. Odłączając wiarę chrześcijańską od wszystkich ozdób pasorzytnych, od wszystkich niepotrzebnych lub niebezpiecznych przydatków, któremi ją przeciążyły upłynione wieki i interes duchownych, wystawia ją przed oczyma w piérwiastkowéj czystości. Tym sposobem dokonywał on tego odbudowania spokojnego, którego wpływ byłby tak szczęśliwym, działanie tyle dobroczynném, lecz które nie zjednałoby ani sławy, ani zaufania tym, co je do skutku przywiedliby. Już jego wziętość literacka poczęła się szérzyć w Europie.

W roku 1504 on to powiedział pochwalną mowę na przybycie do Bruxelli Filipa Pięknego; za tę próbkę wymowy zapłacono mu pięćdziesiąt dukatów złotem; sam o tém mówi. Przywołany do Anglii, przez lorda Mountjoy, przepędził czas niejaki w wiejskim domu tego pana blizko Greenwich. Tam się przyjaźnią skojarzył z To-

maszem Morus'em, młodym jeszcze, który odbywał wówczas kurs prawa: dwa umysły wzniosłe, dwie dusze nieskalane i zacne. Tomasz Morus był tém w polityce, czém przyjaciel jego w sferze religijnéj. Często razem się przechadzali. W przemowie do swych dzieł wydanych w 1540 w Bazylei, Erazm zdaje sprawę w sposób interesowny z tych przechadzek. «W Eltham, powiada on, mieszkała ze swém rodzeństwem miss Robert, którą Tomasz Morus miał poślubić. Mieliśmy sposobność widzieć tam całą młodą familiję królewską: Henryka, który miał lat dziewięć; Małgorzatę poślubioną Jakóbowi Szkockiemu; Maryą, która miała lat cztéry i małego Edmunda.» Żaden historyk, żaden romansopisarz nie korzystał z tych ciekawych szczegółów. Nic zabawniejszego np. nad rozprawę teologiczną między Erazmem i Groscyn'em, spór zawzięty, jakiego teatrem była łódź, na któréj się Erazm puścił, dla przedstawienia swego wydania *Hekuby Eurypidesa* arcybiskupowi Lambeth.

Tak wówczas odbywało się wychowanie uczonego i człowieka poświęcającego się naukóm. Sposobienie się do tego stanu prowadziło ich przez całą Europę, a w tém podróżowaniu nie tylko zwiedzali biblioteki, lecz uczyli się poznawać obyczaje. W rozmaitych stosunkach zbliżali się do ludzi wojennych i wielkoradźców. Rozprawiali z arcybiskupami i kardynałami o stanie rzeczy kościelnych; nabywali doświadczenia, które nowém życiem krzepi i prostuje naukę. Dzisiaj dosyć jest bydź w redakcyi jakiegokolwiekbądź dziennika i kilka godzin przepędzić w salonach, aby dadź wszystkie stopnie poświęcenia pisarzowi, jakich potrzebuje, całą naukę postrzegacza, któréj stan ten wymaga!

W roku 1506 Erazm zwiedził Włochy z młodym Mountjoy; Juljusz II papież, wojennego ducha, wówczas nad niémi panował, jak wojskowy, który dosiadłszy ognistego rumaka, podług swéj woli kiérując, w zapędzie go hamuje. Podróżownicy widzieli go wchodzącego do Bolonii jak naj-

wyższego kapłana kościoła, naśladującego tryumf Pawła Emiliusa; namiestnika Jezusa Chrystusa wkraczającego przez wyłom do miast szturmem wziętych! Z pięciu papieży, zajmujących koleją katedrę S. Piotra, w przeciągu życia Erazma, tylko jeden Juljusz II nim się nie opiekował; dwaj ci ludzie nie mieli żadnego stosunku, najmniejszego podobieństwa. Juljusz II mało ważył krew ludzką, Erazm chciał, aby ją szczędzono i szanowano; uczeń chłostany rózgami (co było wówczas jak i w każdym czasie rzeczą naturalną) wzbudzał żywe w nim politowanie. Nie jednę kartę swych dzieł poświęcił naganie tego barbarzyństwa, które go nade wszystko w Anglii oburzało. «Zwiedzałem, powiada w jednym ze swych listów, szkołę doktora Collet'a, dziekana kościoła S. Pawła; szczątki pokruszonych rózeg pokrywają w niéj ziemię. Oh! co za sromota! ileż umysłów szczęśliwych i szlachetnych gubi się, poniża się i niweczy się przez oprawców!» Nie ograniczając się do tego tylko

jego filantropija, rozciągała się na cały ogół społeczeństwa. Ona potępiała ten zapał wojenny, jakim wiek szesnasty był ożywiony, twierdząc, iż największym z wodzów, którego zwycięztwa i zabory były najszlachetniejsze i największą przynoszące chwałę, prawdziwym bohatyrem był umysł. Kwakrowie, których przekonanie zgadzało się z nauką Erazma, nie zaniechali odwoływać się do tych łagodnych i pokojem tchnących teoryj. Dzięki ich staraniom, wszystkie pewniki, przeciwne wylewowi krwi ludzkiéj, zebrane zostały w ciekawéj księdze, pod napisem *Anti-Polemos*. Można więc sądzić, jak mało te nauki i człowiek, co je rozszérzał, mogły się podobać papieżowi, który z całéj Ewangelii, jak się zdawało, nie znał i nie zastosowywał w działaniu nad jedno miejsce, to właśnie, w którém apostoł odciął swym mieczem ucho biédnemu Malchusowi! Za panowania Juljusza II, Erazm nie miał żadnego stosunku z Watykanem.

Mieszkał on spokojnie w mieście Bolonii,

które mu ofiarowało stopień doktora (wówczas już hańbiony i okrzyczany, jak i dzisiaj), tytuł, do którego nasz Erazm małą zapewne przywiązywał wartość. Dzieło wielkie, ważne, zajmowało i pochłaniało wszystkie jego chwile: czytał on i zgłębiał pisarzy starożytnych, nie dla tego, aby poprawić *ypsilon*, lub zmienić formę *digammy*, lecz aby wykryć tajemnice zapomniane mądrości minionych wieków. Jaka była myśl, jaka moralność tego innego świata? Na jakich posadach wznosiła się jego budowa? Czyli nie można było zebrać w jedno i do wspólnego przywieśdź śrzodka pewników, przypowieści, teorematów, wydatniejszych miejsc, zdań, przysłów, jakie zbiorowym sposobem wystawiłyby tę znikłą cywilizacyą? Bowiem wszelka cywilizacya w ostatecznym rozbiorze zawsze tak się wyraża. Bez wątpienia, przedsięwzięcie nie przechodziło możności, lecz było olbrzymiém. Erazm go dokonał i nie przestał jeszcze na tém: mniemał, iż praca jego byłaby nieużyteczną, jeśliby nie przydał do

niéj kommentarzów, anekdot, rozbiorów, not obfitych. Był to ogromny zapas, z którego wszyscy po Erazmie szli czerpać. *Adagiorum chiliades* były skarbem wspólnym wszystkich uczonych, ludzi dowcipnych, dziennikarzy, pisarzów, polygrafów. Większa część myśli oryginalnych, jakich nowożytni dali poznać wartość, należy do tego wspólnego zbioru, i nie jedna karta, świetnémi jaśniejąca kolory, któréj podziwiasz się nowości, blaskowi, żywości całkiem nowoczesnéj, innego nie ma początku, jak z tego obfitego źrzódła, w którém autor nie tylko pomieścił całą naukę starożytną, lecz do tego stopnia jeszcze posunął usłużność i przezorność, iż ułatwił wyszukiwania erudytóm, zostawił im wszystko należycie przyrządzone.

Adagiorum chiliades były ułożone, lecz niewydrukowane; wówczas kwitnął w Wenecyi zakład, jaki nie ma sobie podobnego za dzisiejszych czasów, o którym nasza epoka przemysłowa, materjalna, pospolita, zaledwo jest zdolna mieć wyobrażenie. Stary

Aldus Manucy (*) drukarz, otoczył się akademiją uczonych, którzy poprawiali podejmowane przezeń wydania, i z takim interesem oddani byli jego drukarni, jak kapłan przywiązany jest do ołtarza, u którego służy. Gromadzili się około Manuciusa, Alcander, Navigero, Demetrius Chalcocondyl, który się zabrał do piérwszego wydania *Homera*; Bolzani autor piérwszéj grammatyki greckiéj; nakoniec jaśniały tam najsławniejsze imiona Erazma i kardynała Bembo. Wenecya punkt śrzodkowy swobody, jak ją wówczas pojmowano, opiekowała się tą akademiją, głównym śrzodkiem ruchu umysłowego w Europie. Wszystkich spójrzenia ku téj stronie były zwrócone, nawet podówczas, kiedy nierozważny

---

(*) Ob. w téj rzeczy jednę z ksiąg najsumienniéj napisanych, najdokładniejszych i najciekawszych z liczby drukiem ogłoszonych w tych ostatnich czasach, *Roczniki drukarni Aldów* (*Annales de l'imprimerie des Aldes*) przez A. A. Renouard (wydanie trzecie). Także zbiór *listów Manucyuszów*, wydanych przez tegoż autora.

Franciszek I wystawiał na szwank swą sławę i chwałę swego ludu, kiedy głęboki Karol V probował rzucić posady monarchii powszechnéj. I nie bez przyczyny tak się działo. Prąssa Alda Manuciusa była potężniejszą nad oręż Franciszka i Karola: ona powoli zmieniała Europę, bacznie słuchającą i dobrze przygotowaną. Wszystkie wydania autorów łacińskich i greckich, jakie wychodziły z téj budy kupieckiéj w Wenecyi, nakształt tyluż jasnych promieni, rozlewających się światłem po całéj Europie, były starannie przeglądane przez Erazma, który nie miał sobie za poniżenie bydź poprawiaczem korrekt i pobiérać płacę za trudy, tak zkądinąd wielkiéj wagi, zpomiędzy prac odnoszących się do drukarstwa. «Czyliż nie zarabiasz, biorąc pieniądze za czytanie korrekt w drukarni Aldów?» zapytuje go z urąganiem się stary Juljusz Cezar Scaliger, którego nasz Erazm obraził na siebie, krytykując Cyceronistów, śmiészny zastęp pedantów, uwięzłych w kolejach Cycerona? «Czyliż nie masz na-

łogu pić wino cypryjskie; i gdy powracasz, nie rzucasz-li na około siebie wszędzie nieporządku?» Nie wiémy czyli wino cypryjskie zapalało czasem głowę dobrego Erazma, tak z przyrodzenia umiarkowanego, i któremu nikt ze spółczesnych nie czynił podobnego zarzutu; lecz wątpić nie można, iż zawziętość jego nieprzyjaciela, była więcéj krzywdzącą samego Skaligera, aniżeli jego przeciwnika; Erazm miał więcéj praw niżeli Skaliger do powszechnego szacunku. Dumny potomek książąt Werońskich, obudzał zawiść przez swe niepomierne roszczenia, gwałtowne obelżywości i przez swą cierpką zazdrość przeciw ludziom znamienitym; poprawiacz korrekt w Wenecyi, pędził życie rzeczywiście daleko szlachetniejsze, w swéj skromnéj prostocie, cichéj przyjemności i w swéj pilnéj pracy.

Dwie przeważne sławy i wyrocznie starożytne, szczególniéj wpływ wywarły na odrodzenie się nauk: Arystoteles i Cyceron. Wpływ Arystotelesa nie był, ściśle wszystko zważywszy, jak podaniem

wieków śrzednich; twórca *Kategoryj* dziwnie przypadał do epoki syllogizmu i drobiazgowych rozróżnień. Lecz kiedy już nie starano się jedynie gruntować głębie metafizyki; kiedy Gallija i Niemcy, przez czas długi, nieprzystępne dla wpływu literatury, poczęły, w pewien sposób szacować sztukę dobrego mówienia, którą Włochy uczenie zastosowywały w użyciu; natenczas Cycero był prawdziwym półbogiem. Okrzykniono go królem; przepisywał on prawa wszystkim naukóm, nie wolno było żadnemu pisarzowi, pod karą wystawienia się na śmieszność, używać wyrażenia, któregoby w Cyceronie nie było. Dwaj Pliniusze, Senekowie, wymowny Tacyt, nawet, wytwornie ozdobny Titus-Liwius, nie zasłużyli na żadne względy, byli wywołani w świecie literackim. Rzeczywiście Cycero jest królem wymowy łatwéj, przyjemnéj, wykwintnéj, ożywionéj, potoczystéj, wdzięcznie działającéj. On wypowié wszystko, co chce, i mówi jak chce. Upiękuia wszystko aż do małości serca oso-

bistéj; ubarwi i pokryje kwiecistémi ozdoby własne tchórzowstwo i swą niepewność. Wszelakoż talent jego może bydź przedmiotem i krytyki; a jego współcześni, co go winili, iż nie dosyć żywo spajał w całość swe mówienie, i puszczał, aby się toczyło, jak bogacz swą togę, inni także, co mu przypisywali wymowę azyatycką, trafnie dostrzegli słabą stronę jego zdolności.

Erazm widząc uczonych owego wieku rzucających się z pewnym rodzajem religijnego uniesienia w ślady Cycerona, obalających cześć wszystkich innych wyroczni i nieprzyznających nawet prawa obywatelstwa wyrazóm, których Cycero nie używał, osypał ich żartami. Satyra Erazma wzbudziła nienawiść i oburzenie Skaligera, wówczas jeszcze nieznanego. Jego napad tak nieprzyzwoity, niewczesny, gruby, nie zasługiwał na odpowiedź; lecz taki był powszechny szacunek, którego poprawiacz korrekt Alda Manucyusza stał się godnym, iż imie jego zuchwałego napastnika poczęło bydź znaném we Włoszech.

Winien on był swéj urągliwéj odezwie piérwszy promień swéj sławy; prace jego, wyjaśniające *Botanikę* Teofrasta, *Fizykę* Arystotelesa i dzieła Hippokrata, usprawiedliwiły, w pewien sposób, dumną zarozumiałość i zaufanie w sobie samym, jakiego dowiódł piérwszym swym krokiem; lecz niemniéj także nie przestawał okazywać się śmiésznym i niedorzecznym. Powziął on myśl dowolnie, podług własnego sądu, uszykować pisarzy starożytnych: mieszcząc Katulla w ostatnim rzędzie poetów, nie znajdując, jak nizką pospolitość i barbarzyństwo w jego stylu, tymże zamachem potępiając Eurypidesa, Wirgiljusza i Horacego, przenosił nad wszystkich tragików greckich deklamatora Senekę; opinije, jakie zkądinąd odpowiadały niedorzecznéj przysadzie i próżnéj nadętości jego charakteru.

Erazm, nie dając baczenia, dozwalał mu pisać i wydawać uszczypliwe złorzeczenia. Zajmował się swą pracą i czytaniem korrekt u starego Manucyusza. Ten

szanowny patron drukarstwa, przyjął Erazma do swego domu, nie jak płatnego robotnika, lecz jak przyjaciela; można znaleźć w *Chiliadach*, o których wyżéj namieniliśmy, dowód wdzięczności i szacunku, jakim ku niemu nasz Erazm był przejęty. W artykule *Festina lente*, który jest dlań textem poważnego i uczącego kommentarza, za przykład i wzór działalności spokojnéj, wytrzymałéj i niezmordowanéj, wystawia Alda Manucyusza. W cóż się obróciły te stosunki tak zaszczytne dla wydawcy i pisarza? Duch nowoczesnego społeczeństwa, nowe wprowadził obyczaje: zbyt często naczelnik drukarni nie jest jak robotnikiem spekulantem; poprawiacz korrekt wykonywa professyą prawie mechaniczną. W tém widzimy tęż samę rewolucyą, jaka poniżyła dawny stan rzemieślnika wieków śrzednich i zniosła symboliczne znaczenie, którém każde rzemiosło było uświęcone; rzemiosło było pewném wtajemniczeniem (*mystère*). Za dni dzisiejszych i sztuki nawet są tylko rzemiosłem!

Erazm opuścił drukarnią, aby w charakterze przewodnika i nauczyciela towarzyszyć synowi Jakóba króla szkockiego, z nieprawego łoża, który nie miał lat dwudziestu, a już był arcybiskupem. On nie ukończył nawet nauk, a już mitra arcybiskupia zdobiła jego czoło: nadużycie zwyczajem uświęcone w wiekach śrzednich.

Erazm powziął czułą przyjaźń ku swemu młodemu uczniowi. Dla jego nauki on ułożył wiele traktatów dogmatycznych; i jeśliby arcybiskup St. Andrews żył dłużéj, wątpić nie można, iż tolerancya i duch mądrości, jakie weń natchnął jego nauczyciel, byłyby się przyłożyły potężnie do przeważenia fanatycznego wpływu Knoxa i innych reformatorów. Już chwalono łagodność, uprzejmość, szlachetność ucznia Erazma, po jego powrocie do Szkocyi, którą ogień wojny domowéj i zapasy stronnictw burzliwie wstrząsały. Chociaż był arcybiskupem, jednak jako i świecki pan razem on się jął topora i miecza. Widziano go mężnie potykającego się i poległego śmier-

cią bohatyra w bitwie pod *Flodden-Field*. Erazm opłakiwał śmierć swego przyjaciela; zachował on na pamiątkę, jako podarek młodego arcybiskupa, którego używał przez całe swe życie, kamień z wyobrażeniem bożka Termina i z wyrzniętym pod nim za godło napisem: *cedo nulli*: *nikomu nie ustępuję*. Nieprzyjaciele Erazma nie zaniechali obwiniać go o niedorzeczne wynoszenie się, które dalekie było od jego myśli. Zwykłe nikczemne dąsania się zawiści i nieprzyjaźni. Tak teolog Stunica znalazłszy w jedném z dzieł Erazma to wyrażenie: *Germana apostolorum theologia* (*Prawdziwa nauka apostołów*), utrzymywał, iż Erazm przypisywał apostołóm naukę germańską Lutra!

Lecz wróćmy znowu do kolei czasu. Po ukończeniu nauk, któremi kierował młodego swego ucznia w uniwersytecie padewskim, ten nauczyciel, godzien książęcia, zwiedził z nim naprzód Siennę, potém Rzym, gdzie w blizkich zostawał stosunkach ze wszystkimi znamienitymi mężami, z najzawo-

łańszémi dowcipami owych czasów: z medykiem poetą Fracastor'em, który potrafił przeobrazić w poezyą nową klęskę pustoszącą Europę; z uczonym Hieronimem Widą i wytwornym poetą Sannazarem; nakoniec z kardynałem Mediceuszem, który kiedyś miał stać się Leonem X, a teraz, od piérwszego rzutu oka, ocenił zasługi uczonego Hollendra.

Piękny w tę epokę widok przedstawiał Rzym. Gród wiekuisty otoczył się nowym blaskiem chwały. Ze wszystkich stron rodziły się arcydzieła, cudne spółzawodnicze twory, jakie poezya i erudycya oświecały, podniecały, rozwijały. Wkrótce miał się wznieść Watykan; biblioteki pełne były uczonych, którzy oczyszczali skarby starożytne. Co za radość, i jeśli tak wyrazić się godzi, co za jubileusz, w naukowym względzie dla Erazma! Jaka szkoda, iż on nie poszedł za radą kardynała Mediceusza, który chciał go nazawsze zatrzymać w Rzymie! Nie wątpię, iżby on wywarł był na swego przyjaciela wpływ zbawienny, i

w wielkiéj walce, jaką wytrzymać należało przeciw reformacyi, zdołałby skutecznie swojémi radami miarkować i powstrzymywać skłonności zapominające się w popędliwém uniesieniu stanowczo rozkazującego Medyceusza. Jeszcze kiedy on nie był jak tylko kardynałem, Erazm mu przepowiedział tyarę, i skłaniał go, zręczném namienieniem, w sposób wirgiliuszowski, aby usprawiedliwił swe nazwanie Medyceusza, przykładając się do zaleczenia otwartych ran kościoła:

Et *Medicas* adhibere manus ad vulnera pastor.

Jest to zapewne jedna z najdowcipniejszych gra wyrazów, jaką wymyśléć można. Wyobrażam sobie Erazma jako członka rady papiezkiéj, usiłującego uśmiérzyć oburzenie żarliwych katolików, wskazującego potrzebę reformy, dowodzącego, iż wstrząśnienie i gwałtowne kroki na nic się nie przydadzą, że zapęd i zawziętość więcéj rozdzielą i rozjątrzą tylko rany już zadane. Takich doradźców, jak Erazm, nie ka-

żdego czasu znaleźć można. Kiedy Paweł III dawał mu kapelusz kardynalski, już była minęła pora. Sprzeczki zwiększyły zażartość obu stronnictw; wymowa najsilniéj przekonywająca próżnoby się rozlegała na soborze trydenckim; złe już się stało: nie korzystano z tych rzadkich chwil, jakie Wirgiljusz tak dobrze nazywa: *mollia fandi tempora*. Nieprzezorność i niebaczność rządzących, srozszą jeszcze zrządziły klęskę, i walki teologiczne zalały krwią całą Europę.

Wielki pisarz, znamienity uczony, miał podówczas przyjaciół w całym cywilizowanym świecie. Kiedy kardynałowie rzymscy starali się zatrzymać Erazma i utwiérdzić pobyt jego w Rzymie, Tomasz Morus wzywał go do Anglii. Henryk VIII wstępował wówczas na tron: wszystkiego się spodziewano od tego młodego króla, który popuszczeniem wodzów swym niepohamowanym namiętnościóm, sprawił omylenie łatwowiernego zaufania swych nauczycieli. Erazm podzielał to omamienie. W odpowie-

dzi na list Morusa pisał doń, iż bez wątpienia ten Henryk VIII, *Henricus octavius*, będzie dla Anglii Oktawiuszem (Augustem) dawcą pokoju.

Odebrawszy list od Morusa Erazm ruszył konno, jak to było jego zwyczajem. Przebył on Alpy. «Ta długa przejażdżka konno, ta podróż samotna (mówi Erazm w przypisaniu swéj *Pochwały Głupstwa*), zrodziły w méj głowie mnóztwo dziwacznych wyobrażeń, które uprzyjemniały i rozpędzały nudę, w czasie podróży; nie chciałem, aby moję imaginacyą zaymowały znikome cienie i czcze marzenia. Przywołałem na myśl obraz mych przyjaciół, a między innémi pamięć o moim kochanym Morusie. Odnowiłem w umyśle wspomnienia z czasów mych nauk i uciech; wówczas powziąłem zamiar napisania *Pochwały Głupstwa*, *Μωριας Εγκωμιον*, którą naturalnie przypisałem Morusowi, ponieważ nazwanie greckie głupstwa (*Moria*) właściwie wskazało mi takiego protektora.» Widzimy, iż Erazm wykraczał często wpadając w dwuznaczne zwroty; wadę wspólną

nade wszystko uczonym, do któréj ich doprowadza zgłębiona znajomość rozmaitych języków, snadniéj niżeli prostych śmiertelnych. Głęboko uczony Southey jest dzisiaj największym układaczem dwuznaczników w całéj Europie; tenże rodzaj talentu przypisują doktorowi Parr, Porson'owi i Bentley'owi. Naturalnie wielka liczba wyrazów zatrzymuje się w pamięci erudytów i przez dziecinną fantazyą lubią oni igrać i popisywać się ze skarbami przez nich nabytémi. Jeżeli wiele jest dwuznaczników Erazma, niemniejsza liczba znajduje się i takich, do których imie jego dało powód; Morus widząc go zawsze jakby zakopanym w pyle bibliotek, utrzymywał: «iż nauka o przechodzeniu dusz była prawdziwą, oraz, że, aby tyle pożerać starych pargaminów, przyjaciel jego, w piérwszém przeobrażeniu, musiał należeć do rodzaju myszy: *Eras-mus*, woła doń, Erazmie *byłeś-myszą!* — Nie śmiejmy się z tych żartobliwych naiwności naszych ojców, z igraszek umysłów tak wielkich, szlachetnych, tak pło-

dnych: igraszek szczérych i zkądinąd najniewinniejszych.

Lecz to jest najdziwniejszém w charakterze, pod względem literatury, Erazma, iż człowiek ten, który wskrzesił starożytnych i Ewangeliją, ten erudyt głęboki, wypowiedział wojnę wszystkim śmiésznościóm swego wieku. Napadł on zrazu, jakeśmy mówili, na szalone dziwactwo Cyceronistów, sektę szczególniejszą, zapaloną fanatyzmem ku starożytności łacińskiéj, która zgoła nie chciała używać wyrazów prócz tych jakie się w Cyceronie znajdowały, która nazywała kardynałów *Patres conscripti*, a Jezusa Chrystusa, synem Jowisza; wojował on z ich pedantyzmem, jak również powstawał przeciw fanatyzmowi, nie oddzielając się od dworu rzymskiego. Nic zabawniejszego nad Cyceronistę Erazma: jest to obraz godny Labruyer'a. «Cyceronista nie żyje jak dla Cycerona i całkiem doń należy: jest on bezżennym i nie żeni się jak tylko z Cyceronem. On się przygotowuje jak wtajemniczony wielkiéj bogini; mieszka w szczupłéj celi,

któréj okna są podwójne, drzwi podwójne, dokąd światło nie wchodzi, gdzie cichość nieprzerwana panuje. Dla napisania listu pożycza on okresów u Cycerona. Pozdrawia swego przyjaciela i prowadzi z nim rozmowę formułami cyceronowskiémi. Ułożył on słowniki, które razem wzięte więcéj zajmują miejsca, niż zbiór zupełny dzieł autora, z których jeden zawiéra wyrazy, drugi metafory, trzeci epiphonemy, czwarty tropy, piąty przysłowia, szósty dowcipne żarty wyjęte z Cycerona». Lecz Erazm nie ograniczał się wyśmiéwaniem pedantyzmu. Duchowni i zakonnice, nauczyciele i uczniowie, mnisi i biskupi, ludzie z wyższéj szlachty i włóczący się próżniacy, sorboniści i kaznodzieje, nikt nie uszedł jego przekąsów, on nie zapomina o niczém. Potrzeba widzieć, jakiémi kolory opisuje ciemnotę i żarłoczność zakonnych braci, tajne wyuzdane szaleństwa życia mniszego, rozpustne biesiady odprawowane, pokryjomu, w klasztorach, smutny los dziewic poświęconych Panu, bez powołania, niestateczną protekcyą

możnych i bogatych, względem ludzi naukóm oddanych, ich szczodrobliwości od chwilowego wymysłu, stan prawie dziki obyczajów we Francyi i nad brzegami Renu, nieporządną i barbarzyńską gościnność w gospodach, nizką i ślepą zabobonność żołnierza, który zabija i spowiada się, spowiada się i zabija, nakoniec obrzydłe próżniactwo i bez rozeznania nałogową pobożność mnicha, tego wojującego obrońcę napadnionego kościoła.

Pochwała Głupstwa przez Erazma i *Listy niektórych ciemnych ludzi* przez Ulrycha de Hutten, dzielnie się przyłożyły do nadania literaturze szesnastego wieku, tego ducha komicznego i satyrycznego, którego *Pantagruel* Rabelais'a był piérwszém błyśnieniem, co wydał satyrę *Menippée* i nakoniec miał za ostatnie wyrażenie nieśmiertelnego Don Kichota. W tym rodzaju kompozycyi, krotofilnym na pozór, potężnie działającym i głębokim w rzeczywistości, starożytni mają tylko dwóch pisarzów Arystofana i Lucyana. Nowo-

żytni, w obec społeczności tak zmięszanéj, dziwnéj, rozmaitémi wpływy poruszanéj, złożonéj z tylu szczątków greckich i rzymskich, z tylu pamiątek wieków barbarzyńskich, nabyli daleko powszechniejszego czucia i poznania śmieszności wraz z ironiją. Ileż skarbów nie posiadamy w tym rodzaju i jak, pod tym względem, literatura nowożytnych narodów, przewyższa starożytną literaturę! Oto co za szereg widzimy we wstecznéj kolei pisarzów, Wolter i Le Sage, Jean Paul i Wieland, Swift i Stern, Molier i Skarron, Cervantes i Quevedo, nakoniec Erazm i Rabelais! Daleko trudniéj wprawić nas w wesołość niż starożytnych, nie tak łatwo jest dopiéro nas zabawić tak małym kosztem. Żarty Cycerona wydają się nam, po większéj części, pospolitémi, i nie możemy nie śmiać się z Fedra, który we wstępie do swych bajek, więcéj dowcipnych niż zabawnych, sądzi jakby obowiązanym uprzedzić czytelnika, iż bajki jego są bardzo komiczne.

Duplex Libelli dos est quod risum movet.

Pochwała Głupstwa jest fraszką czarownie ujmującą, wypracowaną z nieskończoną trefnością, która pokazuje znajomość świata, wytworność stylu i rozległość głębokiéj nauki, rzadko kiedy razem połączone. Rabelais, bez wątpienia, więcéj ma podnioślejszego lotu. Myśl gorzka i szydercza Rabelais'a przywiązuje się do tronów, uświęconych wierzeń, Religii, do całéj społeczności, nade wszystko zaś, do spirytualizmu. Satyra u niego żyje sprosnością, z powabem szpeci się brudami, zapamiętale natrząsa się z duszy, nauki, filozofii, z teologii, ze sławy. Ona za bożyszcze na tronie świata stawi *bozką butelkę*, dobre *wino*, uciechy zmysłów; używa do swego dzieła najsprzeczniejszéj, najdziwaczniejszéj erudycyi: ona mówi po łacinie, po grecku, przemawia angielskim, włoskim, hiszpańskim językiem, wznosi ze wszystkich kawałków posąg indyjski, bez wymiaru, kształtu, bez prawideł, równie połyskujący się błyskotnémi ozdoby, w swéj odrażającéj szkaradzie, jak uderzający swą nowością.

Nie można naznaczyć żadnego planu, żadnéj piérwiastkowéj i statecznie utrafionéj myśli w tém sennem marzeniu Rabelais'a, trwożoném ukazywaniem się zwodniczych widziadeł; przez niesforne poetyczne zmięszanie wyraził on zamęt krwawy swego wieku. Erazm czystszy, moralniejszy, pogardzający wyuzdaną sromotą, uzbrojony ironiją, powabną, co do formy, lecz straszliwie rażącą w rzeczywistości, satyrą wygładzoną i boleśnie tnącą jak ostrzem stali należycie wytoczonéj; Erazm w rozwagach nad wrzaskliwém i śmieszném ściéraniem się mniemań, w około jego zachodzącém i przywłaszczoném głupstwa panowaniem, napisał pochwałę tego potężnego bóztwa. Jest to zarazem satyra nieubłagana Swifta, wdzięk wytworny Addissona, ozdobna łatwość Woltera i jego wydrwiwanie niepodobne do naśladownictwa. Starożytność nie przedstawiała Erazmowi jak tylko niekształtne wzory, np. *Apocoloquintosis* Seneki. Erazm otworzył drogę dla tego nowego sposobu żartowania wykwint-

nego, niewymuszonego, dowcipnego, wyższego tonu, który, w czasach nowożytnych, tyle nabył przewagi i stał się straszliwą bronią; który, pod piórem Swifta, Steele, Cerwantesa, przerażał mocarzów i ministrów zabiérając miejsce w liczbie śrzodków silnie działających.

Erazm był jedynym śrzodkiem ruchu umysłowego, jak poruszenie religijne toczyło się w około Lutra; jeden przedstawiał panowanie umysłowe, drugi wyrażał w sobie namiętność. Rozgłośna sława, zapał, szalony zapęd, powodzenie, naturalnie były udziałem namiętności, i ukazanie się Lutra zakryło cieniem starego Erazma.

W owéj epoce piérwsze zabłyśnienie odrodzonych nauk tak potężny wzbudziło podziw, iż listy ludzi wyższego umysłu taką miały wagę, jak poufne pisma ministrów, za dni naszych. Niepodległość człowieka oddanego naukóm, nie była jeszcze utwierdzona: pisał on w najlepszéj myśli prosząc o dwa czérwone złote, gdy ich potrzebował: przysyłano mu także najnaturalniéj

kapelusz, czapkę lub parę trzewików: lecz w zamian wymagano odeń pięknego listu, pisanego własną ręką, szczodrze ozdobionego kwiatami retorycznémi. Listy tego rodzaju pisane przez uczonych wieku szesnastego i od nich odbiérane, napełniłyby więcéj niż sto tomów; lecz coby za śmiészność była przypisywać, chociażby jednemu z pisarzów, mniemane upodlenie się? Nieznajomość obyczajów czasu, nie miałaby niedorzeczniejszego wypadku.

W stosunkach listowych, w jakich zostawał Erazm, celniejszymi jego korrespondentami byli nietylko ci, co mu przysyłali podarki, lecz ludzie oświeceni miłujący wiedzenia i czujący potrzebę postępów, jakby zawieszeni między przeszłością i przyszłością. Liczba tych korrespondentów była znaczna: jedno z głównych zatrudnień życia Erazma stanowiło pisanie odpowiedzi na ich listy.

Nie można się dosyć wydziwić wzniosłości moralnéj postępowania Erazma, kiedy postawiony w pośrzód zjątrzonych nie-

przyjaźnią stronnictw, zarówno uniknął ich sprosnéj bezczelności, zapędnych uniesień i niesprawiedliwości. Za powrotem do Anglii liczył w rzędzie swych przyjaciół Linaker'a, lekarza królewskiego, Wareham'a, Cuthbert'a, Turnstaie, Goscyn'a, Lilly, Latimer'a, Collet'a, Bullock'a, i Fisher'a. Mianowany professorem języka greckiego w uniwersytecie w *Cambridge*, swym przykładem i nauką przyłożył się do upowszechnienia w Wielkiéj-Brytanii, podówczas jeszcze nieoświeconéj, zamiłowania w poznawaniu starożytnych pisarzów: usiłowania jego nie były płonne, cieszy się z tego w swych listach: «*Apud Anglos*, powiada, *triumphant bonae litterae et recta studia.* Duch narodu angielskiego szczególniéj mu się podobał; często przyjeżdżał do Londynu, gdzie oycowie Augustyanie na *Broad-street* gościnnie go przyjmowali, często także odwiedzał Hansa Holbein'a malarza, i Tomasza Morusa filozofa. Erazm to piérwszy odkrył dla Hansa Holbein'a drogę talentu i wziętości, wspiérał go swémi radami, przed-

stawił go swym przyjaciołóm i polecił mu zrobić rysunki rycin, które zdobiły *Pochwałę Głupstwa*. Podejrzéwano go, iż użyczył swego pióra autorowi Utopii i Henrykowi VIII, który jedną ręką podpisywał ulotne pisemka teologiczne, a drugą wyroki skazujące na śmierć jego małżonki. Są to kłamstwa historyczne; dosyć jest znać niezachwianą prawość Tomasza Morusa, aby nie wierzyć w jedno, sam zaś Erazm najwyraźniéj obala drugie twierdzenie.

Tymczasem wpływ przeważny, jakiego dostąpił Wolsey na umysł Henryka VIII, stawał się coraz groźniejszym. Przezorność Erazma przewidziała burzę, która wkrótce miała gromem wybuchnąć.

W roku 1513 opuścił on Angliją, do któréj już nigdy nie wrócił. W niewiele czasów potém spotykamy go u obozu *Złocistego namiotu* (*Drap d'Or*) (*), gdzie kwiat rycerstwa francuzkiego i szlachta an-

(*) Miejsce pamiętnego widzenia się Henryka VIII i Franciszka I, między *Ardres* i *Guines*.

gielska ubiegały się w przesadzeniu siebie nawzajem przepychem i wspaniałością. Tam on znowu ujrzał wszystkich swych dawnych przyjaciół. Tam w 1520 r., na niewielkiéj równinie między *Calais* i *Boulogne*, wszystkie uroczyste wystawy feudalne zajaśniały ostatnim, przed skonaniem, blaskiem. Tam około Henryka VIII i Franciszka I, zgromadziło się w świetnym orszaku wszystko, co jaśniało przepychem, co było szlachetném w obu królestwach. Szczególniejsze i dziwne zgromadzenie, o któróm Szekspir zachował pamiątkę w swych pięknych rymach o Henryku VIII. Oto widzimy potomków Talbota, przyjaźnie ściskających prawicę potomków Duguesclina. Bayardy, Lapallissowie, Chabanny, uprzejmie, jak bracia, pozdrawiają Percy'ch, Stanley'ów i Howard'ów. Nieszczęśliwa hrabini de Chateaubriand, wita młodą Annę de Boulen, skazaną na los niemniéj okrutny. Bude, Rabelais, Klemens Marot, Saint-Gelais, przedstawują oświecenie francuzkie; Fisher,

Linacre, **Erazm**, wyrażają godła myśli i głębokiéj nauki angielskiéj. Owoż widzimy w obec siebie dwa te rycerstwa, które tak często potykały się na polu bitwy. Wiele z tych głów szanownych lub blaskiem chwały ozdobionych, padnie pod toporem na rusztowaniu! I dwie te niewiasty, dla których tak smutny koniec zgotowany, śmiejąc się igrają wesoło w tłumie dworaków, wojowników i poetów! U stołu powtarzają nowe wiérsze jednego pazia, któremu przeznaczono uświetnić chwałę poezyi francuzkiéj. **Marot** to wziął na siebie zrysować tarczę herbową obu królów:

U obozu mocarzy najprzedniejszych w świecie,
Trzy chorągwie ozdobne stanęły w około.
Jednę z nich śnieżno-białéj i przeczystéj barwy
Miłość trzyma, tuż *Tryumf* inną niesie w dłoni,
Swietnie wymalowaną błękitnym kolorem;
Daléj *Piękność* w szlachetnéj i czcigodnéj ręce,
Dzierży trzecią ozdobną jaskrawym szkarłatem.
Wszystkie raźne, bogato i strojnie ubrane!
W takim pysznym porządku i krasie wiosnowéj
Przyszły oglądać królów, chlubę chrześcijaństwa,
Miłość, *Tryumf* i *Piękność* przeważnie władnąca.

Takie były pienia, zwiastowniki pokoju, młodego poety. W rok poźniéj zmienił on strony swéj liry. Marot wzywał do boju wojowników Francyi. Przyjaźń królów nie długo trwała. Lecz wróćmy do Erazma, którego łagodność i tolerująca filozofija zgadzała się z duchem miléj poezyi Marot'a. Wkrótce potém był on mianowany radźcą nadwornym Karola V, i ukazał się na zjezdzie w *Worms* w roku 1521; lecz nic go nic mogło wciągnąć w zwichrzony i zgubny zamęt dyplomacyi współczesnéj. Wpływ jego pochodził z innego źrzódła: używał on, aby działać na Europę, sposobów bardziéj pojednawczych. Zajmował się ułożeniem znanych swych powszechnie *Rozmów*, prostych książek szkolnych, których wszystkie zdania wkradły się, że tak rzekę, weszły w massę pospolitego ludu. Więcéj niż dwadzieścia tysięcy exemplarzy tego dzieła, wydanego w roku 1522, rozebrano w przeciągu kilku tygodni. Sorbonna się przestraszyła: utrzymywano nawet, iż była gotową zabronić przedaży jego. Drukowanie

tanich ksiąg za czasów nowożytnych nic nie dokonało, coby się mogło porównać z tém bystrém rozprzestrzenieniem myśli jednego człowieka. Styl tych rozmów był bez przysady i wymuszenia: w nich Erazm do ludu się obracał i w kształcie najpotoczniejszych rozmów, podawał wszystkim szkołóm, wszystkim uniwersytetóm, niższéj klassie ludu, prawdziwą encyklopedyą. Nie było przedmiotu, któregoby nie wyłożył lub nie dotknął, krytyk, na jakieby się nie ośmielił swém wytworném i silném piórem, z pozorną lekkością i udatnym wdziękiem formy, osłaniającym tajemny cel autora. Nade wszystko zaś na mnichów żebraczych zakonów wymierzone były ciosy Katolika Erazma; nie szczędził on żadnego z nadużyć, które mogły na szwank podadź władzę Watykanu. Wolał on raczéj uczynić ofiarę z tego, surowego i niebezpiecznego ładunku, jak dozwolić, aby łodź S. Piotra miała stać się łupem nawałności, grożących jéj zatopieniem.

Potrzeba było, aby Franciszek I wdał

się swą powagą, aby wzbronić Sorbonnie kroków prześladowania przeciw Erazmowi. Jak owady pasorzytne, wyniszczające soki i siły żywotne Chrześcijaństwa, mnisi wydali straszliwe krzyki oburzonego szaleństwa. Pewien dominikan Ludwik Campestre, aby odwrócić i znieść wpływ, przez naszego autora osięgniony, chwycił się daleko zręczniejszego śrzodka; zostawił on w stronie krytykę, satyrę i obelżywe naśmiéwanie się, a prosto puścił na świat, w pokątném i okaleczoném wydaniu, sławne *Colloquia*, które wszyscy czytać pragnęli. Zamiast epigrammatów Erazma przeciw mnichóm, podstawił on pochwały tychże zakonników: w przemowie podpisanéj nazwiskiem samego Erazma, fałszerz posunął zuchwałość do tego stopnia, iż potępiał i powszechnéj poddawał niechęci wydania prawdziwych *Rozmów*. Historya literatury mało wystawia przykładów tak bezczelnego fałszerstwa. «Pobożne oszukaństwo!» mówi, w jedném miejscu, Erazm. «Przez wzgląd na zamiar, chętnie przebaczam jego sprawcy. Sta-

wiąc swe rozmowy obok moich, chciał on mnie poddadź katuszy Mezencyusza.»

Bazyleę, miasto w politycznym względzie pośrzednie, Erazm, człowiek z charakteru swego śrzodkujący, obrał za miejsce swego odosobnienia; odrzucając zgłaszania się przyzywające go do Anglii, Niemiec i Francyi. Tam żył on w miłéj i ścisłéj przyjaźni z poczciwym Frobenem, jednym z oświeconych drukarzów, prawdziwych Mecenasów odrodzenia umysłowego. Ztamtąd słyszał on gwar straszliwy zmięszanych wrzasków i niezgód Europą miotających. Tam oddawał się on tym pracóm filologicznym, które winny były wskrzesić naukę, nadadź silny popęd badaniów i wlać nowe życie w świat umysłowy; nakoniec zawziętość stronnictwa protestantów wygnała go z tego ustronia. Już Froben nie żył; z mniejszym smutkiem Erazm opuścił Bazyleę. Wsiadłszy na łódkę, którą miał się udadź do Fribourga, pożegnał cztérema wiérszami łacińskiémi miasto Frobena, przez czas długi dlań gościnne. «Żegnam cię Ba-

zylco, żegnam cię, o ty! coś ze wszystkich miast było dla mnie, przez czas długi, najgościnniejszém i najmilszém! Szlę ku tobie pożegnalne pozdrowienia z téj łodzi, na któréj mam się oddalić. Niech wszystkie na cię spłyną szczęśliwości i oby nigdy nie postał w tobie przybysz uprzykrzeńszy od Erazma!» Bazylea dzisiaj pełna jest pamiątek tego wielkiego męża, którego wygnała. Pokazują jeszcze na jednéj z ławek sali, gdzie on lekcye wykładał, portret Erazma w profilu, dosyć podobny i skréślony, jak powiadają, przez jednego z jego uczniów końcem nożyka. W tejże saméj sali podróżujący widzi obrazy naprzeciw siebie zawieszone, przedstawujące Erazma i Lutra, przez wielkiego Holbein'a. Co za sprzeczność! Zdaje się, iż czytasz w rysach piérwszego głęboką naukę bez pedanctwa, wesołość w granicach przystojności zostającą, dowcip bez przysady, imaginacyą z dobrym smakiem połączoną. Przeciwnie w wizerunku Lutra, jaka pospolita i zuchwała zapędność, co za nie-

przeparta siła krwi i ciała, jaka moc olbrzymia i gminna sympatya! Też same charaktery znajdziesz w rysach Mirabeau: zdaje się, iż iskra zdolności umysłowéj jest przytłumioną pod siłą woli i zapędem namiętności. Zapewne, jest to syn wieśniaka, któremu jednak przeznaczono było świat do gruntu poruszyć; jest to człowiek, którego zasadniczym pewnikiem było: «Kto kobiét, ni wina, ni śpiéwu nie lubi, głupcem zostaje przez całe swe życie (*).»

Przeciwnie w Erazmie nic nie ma atletycznego, grubo przeciążającego, kolossalnego; wargi miernie wydatne, końce ust w rogach nieznacznie są podniesione. Czoło jak myślącego człowieka; oko znacznie jest powieką osłonione; nos delikatnie ścieniowany i znaczącego wyrazu; nic nie obwieszcza mocy: wszystko pokazuje delikatność, bystrą przenikliwość, przezroczną jasność i łatwość umysłu. Któżby nie poznał z tego

---

(*) *Wer nicht liebt Weib, Wein und Gesang,*
Der bleibt ein Narr sein Leben lang.

wizerunku człowieka, który potrafił pozostać neutralnym, między stronnictwem pragnącém wznawiań nad miarę i stronnictwem upornie strzegącém swego stanowiska bez przyczyny; tego, który dla spoczynku swéj osobistéj godności, walczył równie żwawo i statecznie, jak Luter podobnież poczynał w sprawie swéj ambicyi chciwéj panowania?

Pomimo usilności Erazma, dwie klęski jego wieku, zawrót luterski i chciwość mnisza, granic nieznająca, nie przestawały wzmagać się nowémi siły. Podczas swego odosobnienia w Bazylei, odosobnienia, uprzyjemnionego przez Frobena, napróżno probował on zwalczyć dwa te potwory. Poświęcił on lat dziesięć pracóm koło wydania S. Hieronima; potém ogłosił piękne swe edycye dzieł S. Bazylego, S. Atanazego, S. Chryzostoma, Isokrata, Plutarcha, Lucyana i Demostenesa. Jak Wolter owoczesny, zajmował się on naprzemian filologiją, matematyką, poezyą, i zostawiwszy tyle jasno-świecących śladów

swego przejścia, zakończył życie 12 Lipca 1536 roku. We trzy dni potém zwycięzkie wojsko Karola V, weszło do Bazylei. Wydobyto z ziemi trumnę i uroczyste obrzędy uświęciły pogrzebanie zwłók tego wielkiego człowieka.

Tak żył, tak zeszedł ze świata mąż, który był nieśmiertelnym piérwowzorem umiarkowania umysłu, rozległości gruntownych nauk, nieporównanéj przeględności i siły duszy wpośrzód przeciwnych stronnictw, w ostateczności z sobą zostających.

Pytać się, czyli Erazm był większym człowiekiem nad Lutra, lub czyli Luter był wyższym nad Erazma, byłoby niedorzecznością. Filozof i rewolucyonista w niczém nie są do siebie podobni. Jednemu służą, potęga w działaniu na massy, gwałtowność poruszenia, niesprawiedliwość i namiętność. Potrzeba, aby on z gruntu wstrząsał, pociągał, zmieniał świat. I kiedy na czele nieprzyjaciół swych postępuje, jak człowiek wojnóm, napaściom i zapędnemu szaleństwu oddany, nie mów mu o umiar-

kowaniu i mądrości. I cóżby z niémi począł? — oneby mu tylko na drodze zawadzały. Z natury rzeczy on jest wojennym: wszystko dlań jest dobrém, byleby się tylko do powodzeń przyłożyło, i aby się tylko dokonało zwycięztwo, pamięć wszystkich cząstkowych niesprawiedliwości niknie. Lękliwość rozumu, scisłe przestrzeganie i obawy sprawiedliwości, tysiączne powątpiewania sumnienia, do niczego nie służą na polu bitwy. Z filozofa szczérze poświęcającego się rozmyślaniom, z człowieka czysto umysłowego, nigdy nie zdołasz uczynić narzędzia rzezi i tryumfu. Zostawmy każdemu jego położenie. Niech Napoleon zmienia świat materjalny, jak Luter przekształcał świat kościelny: niech Goethe rozmyśla w swéj pracowni nad umysłowém doskonaleniem się wszystkich ludów, jak Erazm w swém odosobnieniu w Bazylei ukazał na korzyść nowoczesnych, w całéj obszérności, rozwinięcie umysłowe świata starożytnego.

Człowiek potężnego działania, przedsta-

wia większy charakter historyczny. Filozof głęboko uczony, Erazm jest wzorem mądrości wyższéj i doskonalszéj. Erazm popełnił błąd, kiedy, pod koniec swego życia, wystąpił do zapasów z burzliwym reformatorem i porzucił swą rozsądną i baczną neutralność. Luter niemniéj się omylił, kiedy zamiast tego, iżby szanować miał mądrość umiarkowaną racyonalizmu, użył obelżywych natarczywości przeciw obojętności filozoficznéj autora przysłów. Obie te potęgi winny były wzajem siebie szanować i zostawić między sobą niezmierzoną przepaść, jaka je dzieliła: obie niemało się uniżyły, rozpoczynając wojnę, zarówno dla obu stron szkodliwą. Z powodu pytania o *wolnym sądzie*, stanowiącego osnowę wszelkiéj filozofii i zawadę wiecznych ustérków dla myśli ludzkiéj, zawziął się spór między nimi, i jak niechybnie stać się musiało, Luter przemógł wymową, zapalczywością, przez działanie na umysły, kiedy Erazm okazał się wyższym nadeń, przez rozumowane dowody i logikę. Luter czyni z czło-

wicka ślepe narzędzie, niewolnika Boga: Erazm odpowiada mu: «Jeżeli Bóg uczynił złe, Bóg nie jest dobrym. I dla czegoż Pan Bóg nie zmienia ułomności naszéj woli, gdy ona nie jest w naszéj mocy?» Luter gniewem się zapala, piorunuje, miota obelgi, lecz nie odpowiada, i wyższość swą winien jest tylko wymowie; a im bardziéj się wynosi ze swego zwycięztwa, tym więcéj zagłębia się i grzęźnie w niemoralności fatalizmu, tak, iż nakoniec zmuszony jest przypuszczać, iż Judasz niezbędnie musiał zdradzić Chrystusa. Zawzięty do szaleństwa, iż został odparty do ostatnich swych stanowisk, nie przestał przez całe życie przeklinać Erazma.

W dzień S. Trójcy woła on na mównicy: «Zaklinam, proszę was wszystkich, jeżeli dla was cześć Chrystusa nie jest obojętną rzeczą, bądźcie nieprzyjaciółmi Erazma! — Bądźcie nieubłaganymi, srogimi przeciw temu wężowi Erazmowi. Jest to ostatnia moja wola, powiada on do Pomerana; Jak skoro odzyskam zdrowie, pragnę z po-

mocą Bozką, pisać przeciwko niemu i trupem go położyć. Obalić, zniszczyć Erazma, jest to zdeptać lichy owad, lecz Chrystus mój, z którego on się natrząsa, więcéj waży dla mnie, jak niebezpieczeństwo Erazma!»

Pewnego razu, gdy mu pokazano obraz tego przeciwnika co się stał tak strasznym: «Oto jest trafny wizerunek, zawołał, pisarza pełnego przebiegłości i złośliwego jadu, który śmiał się z Boga i Religii. Używa on czystych i pięknych słów pobożności, lecz prawdę uważa za rzecz wielce obojętną. Mowa jego wydaje fałszywe dzwięki, jak naczynie pęknięte.» W inném mieyscu jeszcze obelżywsze miota złorzeczenia. «Erazm, powiada, ten król mydlanych baniek, który siedzi spokojnie na tronie czczej i dwuznacznéj gadaniny, nadużywa naszéj łatwowierności przez swe ciemne słowa i klaska w ręce gdy nas widzi uplątanych w zdradliwe jego retoryczne wyrażenia, jak zdobycz wpadłą w zastawione sieci. Znajdując wówczas sposobność do popisania się ze swą retoryką, wpada na nas z wielkim wrzaskiem,

szarpiąc, biczując, krzyżując, całe piekło rzucając na głowę, albowiem, jak powiada, wytłumaczono w sposób krzywdzący, niecny i szatański słowa jego, które chciał, aby tak pojmowano.... Patrzcie, jak się posuwa czołgając się jak gadzina, aby uwieśdź dusze proste, jak wąż co zdradnie wątpliwością skusił Ewę i obudził w niéj podejrzenia przeciw przykazaniom Boga.»

Niezgoda dwóch ludzi tak mało do siebie podobnych, którzy nie mogli siebie należycie pojmować, do niczego lepszego nie mogła doprowadzić. Erazm był filozofem chrześciańskim, jak sam o sobie mówi; a teorye jego są prawie takie, jakie i za naszych czasów rozszerzać usiłują; chciał on jedności kościoła, jak rękojmi stałego porządku rzeczy; Luter pragnął odszczepienia się od kościoła, co stanowiło jego potęgę. Erazm niezmordowanie i bez litości powstawał przeciw mnichom, odpustom, postanowieniom dworu papiezkiego, przeciw wszystkim nadużyciom kościoła, lecz nie postrzegał, iż skoro tylko wstrząśnione bę-

dzie nadużycie, wnet dalsze skutki same przez się następują. Instynktowa przezorność nie myliła Katolików; Erazm wydawał się dla nich ojcem Lutra. Erazm, jak powiadali oni, rzucił początek zarazy, jaka się do Lutra przyjęła. «Erazm to zniósł jaja, mówili mnisi, w swym pospolitym i grubym języku, Luter wyprowadził kurczęta.» Rzecz szczególna a jednak naturalna; najzawziętsze obelgi miotano na najłagodniejszego z pomiędzy dwóch tych ludzi, na Erazma co nie chce odstępować od katolicyzmu, nie występuje do otwartéj walki, który żąda, jeśli podobna, polubownéj ugody, nic nie ma w sobie zapalczywości jak Luter, i którego uważano za wiarołomcę i zaprzańca. Erazm, co piérwszy posiał wyobrażenia do odbudowania prowadzące, opiéra się gwałtowności reformy; rola trudna i niewdzięczna, któréj jednak ani na chwilę nie porzucił, jakkolwiek o tém rozmaicie mówiono, albowiem spory jego, z powodu pytania *o wolnym sądzie*, nie są jak tylko założeniem filozoficzném, a jedynym jego błę-

dem, w téj sprawie, jedyną nierostropnością było, iż wywołał Lutra do walki i wystawił się na jego krzywdzące zarzuty.

Oto mamy fakt dowodzący, jak obcym był i dalekim Erazm od widoków naczelnika reformy. Kessler opowiadający nową naukę w Saint-Gall, udawszy się do Witemberga, spotkał się w jednéj austeryi z Lutrem którego nie znał. «Cóż porabia Erazm w Bazylei zapytał go Luter?—To tylko mogę o nim powiedzieć, odpowiedział Kessler, iż ma się dobrze; co zaś do tego czém się zajmuje, nikt o tém nie wié, albowiem on pędzi życie w zupełném odosobnieniu i z nikim nie przestaje.»

Wówczas, kiedy ta rozmowa się toczyła, reformacya bystro się rozpostarła po całych Niemczech i panowała w Bazylei. Erazm wpośrzód swych uszczypliwych przekąsów przeciw złym papieżóm i nadużyciom dworu rzymskiego, nigdy nie wyraża myśli zniesienia papieztwa i nie odwołuje się do prawa *wolnego sądu* na ruinach zasady władzy kościoła. A ztąd go przywalono ogro-

mem sprzecznych obwinień: «tragedya luterska ściągnęła i zwaliła na mnie, sam powiada, nieznośny ciężar gniewu i zawziętości; oba stronnictwa zawistnie mnie szarpały, kiedym pragnął stać się dla nich użytecznym.»

Biblioteka Bazylejska dochowała wiele listów w rękopismach pisanych przez Erazma, do jego przyjaciela Amersbach'a we Friburgu, dokąd się schronił z kanonikami z Bazylei. W nich napotykamy następne miejsce świadczące o wyrozumiałości, w rzeczach Religii tego wsławionego męża: «Kardynał M... który tak natarczywie przekonywał o potrzebie użycia surowych śrzodków przeciw odszczepieńcóm, został schwytanym przez jednego korsarza algierskiego; ludzie ci nauczą, z własną jego biédą, co to jest nietolerancya i powróci zupełnie, w tym względzie, poprawiony.

(*Fraser's Magazin.—Revue Britannique.*)

ROZMAITOŚCI.

PRZECHADZKA PONAD BRZEGAMI RENU.

Spytaj lilii, która na dolinie wzrosła,
I czoło nieskażone pysznie w górę wzniosła.

Na wiosnę w 18 . . roku, dwóch się młodzieńców przechadzało ponad brzegami Renu. — O wielka rzeko! nurt wody twojéj jest bystry, a twoje koryto głębokie! Okolice piętrzące się w amfiteatr łąk zielonych, gajów, winnic, wież gotyckich, poziomych lepianek, uroczna kraino Niemiec, ty oku zdumionemu widoki malownicze wystawiasz! — Renie! u jednego z tych dwóch młodzieńców, bystrzejsza i głębsza była uwaga, aniżeli są twoje wody; u drugiego myśl bo-

gatsza i rozmaitsza, niżli twoje okolice! — Wiek starszego mógł lat dwudziestu pięciu dochodzić; gęste i wielkie światłych włosów pierścienie spadały mu na ramiona, zwyczajem studentów niemieckich; chód jego był powolny i niedbały, oblicze pogodne, czystość i szlachetność jego duszy dostatecznie malujące. Imie mu było Ludwik. Jego towarzysz miał dwadzieścia dwa lata; czoło wysokie, wzrok ruchawy i przenikający: nazywał się Wilhelm. Ludwik i Wilhelm połączeni byli ogniwami najdawniejszéj i najszczérszéj przyjaźni; nigdy dwie istoty, mniéj podobne do siebie, lepiéj się z sobą nie zgadzały; tę ich ścisłą zażyłość wytłumaczymy jedném słowem: — obaj byli poetami. Mogli się oni bardzo różnić pomiędzy sobą skłonnościami przyrodzonémi, temperamentem, upodobaniem, położeniem w społeczności, sympatyami politycznémi; lecz zawsze się zbiegali z sobą w sposobie uważania zasad. Wzbiwszy się do pewnéj wysokości znajdujémy powietrze czystsze, horyzont przestronniejszy, a wszystkie piękne dusze trzymają się za ręce.

Owoż, zdarzyło się, że Ludwik wkrótce napotkał na świecie miłość taką, jakiéj jego charakterowi i jego nawyknieniom potrzeba było. Przy młodości, urodzie nadobnéj i dostatkach, miłość się powoli rozgościła w jego sercu, obok upodobania w nim do przepychu i poezyi, obok przyjaźni jego dla Wilhelma. Kobiéta, na którą padł

jego wybór, pod wszystkiémi względami była tego warta; umiała ona biegle i zręcznie oszczędzać skarby namiętności, jakie się w nim ukrywać mogły; nigdy myśl kłopotliwa żadnéj zmarszczki na jéj czole nie nakréśliła. Nie tak się działo z jego przyjacielem; W i l h e l m był z przyrodzenia energiczny, i z zastanowieniem się poważny: umieszczony na świecie w takiém położeniu, w którém wszystko mu zdobywać należało, obdarzony duszą ognistą, zachęcony niektóremi powodzeniami zbyt wczesnémi; najpiérwszą namiętność ambicyi poczuł obudzającą się w sobie: *miał on wolą*, zawczasu; jeszcze zasiadając szkolne ławki, jedną nogą już był na świecie; tąż samą ręką pisywał artykuły do dziennika, którą bazgrał zadane sobie *ćwiczenie*. Była to sprężyna tęga; wśpiérany przez uroczne złudzenia, przez niezmordowaną nadzieję, przez życzliwości uprzejméj zawsze przyjaźni, prosto, przez czas niejaki, bez ustérku postępował naprzód, i piérwsze przystępy, zawodu literackiego, przeskoczył. Przebywając to życie zapasów, przedsięwzięć, oczekiwań, prac nieregularnych, roskoszy zbytecznych, umysł prędko u kresu edukacyi swojéj stawa. Mało pomału, uczuł on nierozsądek i czczość swoich omamień: jego pojętność krzepiąc się, coraz bardziéj, dozwoliła mu postrzedz jego niedostatki, nie dając mu wszakże dosyć powagi ani sił dostatecznych, ażeby główne dzieło do skutku

mógł doprowadzić. Przez niepojętą jakąś fatalność, niepowodzenia, omyłki, zawody w oczekiwaniach, troski tłumnie kolejno go otaczały; ujrzał się wszędzie odepchnionym, zapomnianym: wtenczas to upadł na sercu; założył ręce na krzyż, usiadł zrospaczony przy gościńcu i wątpił.

Wątpił o poezyi, wątpił o cnocie, o Bogu; wątpił o nauce; złorzeczył jéj, jako gorzkiemu owocowi; złorzeczył jako bożyszczu głuchemu i niedołężnemu, które, czcicielów swoich najukwapliwszych, bez wsparcia i położenia żadnego na świecie, zostawowało: zapytywał samego siebie, azali nie było to jawném szaleństwem walkę nierówną przedłużać, i czy niepowinien byłby się raczéj pokwapić, z udaniem się na pokutę, w jakiémkolwiek powołaniu materjalném i zagrzebaném w ciemności, za chwilę pychy, którą wiek tylko chyba mógłby nieco wymówić. W tych to właśnie dniach powątpiwania i rospaczy układał on najpiękniejsze zamiary: godziny mu płynęły w posępnych dumaniach: wtenczas uznawał on *Hamleta* za arcydzieło umysłu ludzkiego, wcielając się niejako do tego wzoru fatalności i chwiania się niepewnego w postanowieniach. Zdawało mu się, częstokroć, kiedy powracał do domu wieczorem, iż od godziny jego przebudzenia się ze snu i wstania rannego, tysiąc lat upłynęło; tak, w przeciągu dwunastu godzin myśl jego była skołatana rozmaitémi zagadnieniami, jakie sobie

zadawał, i rozlicznémi położeniami, w których się umieszczał. Nie miał już bynajmniéj odwagi zaprządz się do pracy ciągłéj i regularnéj, czytywał co się popadło, przechadzał się bez celu i nic zgoła nie pisał. Przyjaciele zdumiewali się, iż tak długo nic nie widzieli wychodzącego zpod jego pióra, dawniéj tak elektrycznego i płodnego, albowiem żaden symptomat powierzchowny nie wydawał jego wewnętrznego zrażenia, a znajdując zawsze w nim jednostajną rozmowność łatwą i ożywioną, nie domyślali się bynajmniéj udręczeń skrytych, które go szarpały. Sam tylko jeden Ludwik, przez dawną i zażyłą przyjaźń, był powiernikiem trosk, niepokojów i niepewności swojego przyjaciela: dowiedział on się o nadzwyczajnych marzeniach, które zmarszczkami czoło jego poorały, przerażało go to miotanie się, na jakiém Wilhelm targał dzielność energii swojéj; on więc człowiek słaby, z umiarkowaniem namiętny, stawał przed swoim przyjacielem, w sprawie działania, energii, miłości. Wyrzucał mu, że nie wierzy w kochanie; na co Wilhelm odpowiedział:

—Może więcéj, aniżeli ty przyjacielu, wierzę ja w miłość, wierzę w nię jak w chwałę, jak w Boga, jak w każdą rzecz górną i świętą, która przyśpiesza bicie serca w człowieku, tchnąc weń współubieganie się szlachetne. Utworzyłem więc sobie wzór wspaniały i postawiłem go wysoko; potém,

dla tego bozkiego wizerunku, dla tego poetyckiego utworu, dopraszałem się o siostrzycę u świata; poprzysiągłem miłość moję dla téj, która się do niéj najwięcéj przybliży; ale aż dotąd nie znalazłem takiéj, któraby godna była rozwiązać rzemyk obuwia mojéj idealnéj dziewicy; tak zatém, aż dotychmiast postępuję w życiu swobodny i samotny; żadna stróna mojéj duszy, dotknięta wejrzeniem albo wyrazem niewieścim, jeszcze nie drgnęła. A wszelakoż bale, mody, widowiska, domy familijne, nie jednę strawę mi wdzięczną nastręczyły; nie jeden głos wdzięczny obił się o moje uszy. Widziałem, naokoło siebie, wszystkich moich przyjaciół upadających, każdy z nich, mocny i słaby, uległ zarówno. Zazdrościłem ich losowi, a moję podróż jednostajnie odbywałem. Ludwiku, nie bluźnię ja przeciwko miłości, ale w nię nie wierzę... Podobało się Bogu mię ukarać, za zbytek pięknych marzeń. Każdy Prometeusz ma swojego sępa, moim jest niemożność kochania.... Dosyć mi jest na twojém szczęściu; wszystkie moje troski pierzchają, skoro tylko uśmiéch na ustach przyjaciela postrzegam.

Lecz ta usilność nazbyt gwałtowną była dla Wilhelma; tłumaczył się więc daléj w sposób krótszy i bardziéj goryczą zaprawiony.

— I któżby, proszę, chciał połączyć swoje przeznaczenie z mojém? Jaka biało-

głowa posiadałaby tak wysoką cnotę, albo raczéj nierostropność, gdyby się chciała opiérać na słabéj trzcinie, która jest sama wszystkich podmuchów igrzyskiem: a gdyby też Bóg i dopuścił podobnego cudu, gdyby zesłał na ziemię jaką siostrę Ofelii albo Kordelii, mógłżebym takie poświęcenie się, takie zapomnienie siebie przyjąć?... Oh! tę niewiastę, którąbym ja kochał, tę niewiastę, chciałbym najszczęśliwszą uczynić, pragnąłbym ją otoczyć wszelkiémi hołdami, sprowadzić na jéj głowę wszelkie błogosławieństwa; usiłowałbym, na tym padole, raj dla niéj utworzyć, wyprowadzić bez liczby pod jéj stopami róże i stokrocie, ażeby krokóm jéj wygodniéj było; rzekłbym do nieba: niechaj zawsze twoje błękity w pogodzie jaśnieją, bo chmura może ją zasępić; nakazałbym wiatróm zatrzymać swoje tchnienia, lękając się, ażeby słów jéj nie porywały, ażeby jednego jéj oddechu straty nie przyczyniły dla mnie. Wtenczasby to, Ludwiku, poznano, do czego ja sposobny jestem! wtenczasby się to dowiedziano, że ta pojętność (tu się uderzył w czoło i w piersi) moc przecie jakąś posiada; że ja mam w sercu nieco potęgi; że trzcina może się w dąb przeobrazić; topór ciśnięty silną prawicą, nie tak szybko przenika do głębi miękkiego drzewa, jak ja przebiegłbym, kolejno, rozmaite moje stopnie;—chciałbym zmusić tę niewiastę do wyszukania dla mnie jakichsiś trudności niesłychanych, jakichsiś

niezwykłych przeszkód, a te wszystkie prace, jabym je do końca doprowadził; wszystkiebym trudności pokonał. — Gdybym to mówił komu innemu, śmiałby się zapewne z mojéj zarozumiałości; ale ty Ludwiku, ty mię znasz dobrze; nieprawdaż, że nie kłamię? jestem dźwignią Archimedesa, i niczego więcéj, prócz punktu oparcia, nie potrzebuję, żebym świat poruszył!

Ludwika przeraziła ta exaltacya przyjaciela, zaczął więc łagodnie:

— Ty zawsze wyobrażasz sobie życie, jak walkę uporczywą; są kochania spokojniejsze i przezroczystsze, ścieżki do przebycia snadniejsze, po których się stąpa bez trudności, zmiérzając do celu, na jaki się oczekuje zawsze.

— Nie, Ludwiku, nie chcę ja waszych miłostek łatwych, waszych namiętności usłużnych; czuję to, iż mi potrzeba prób i doświadczeń twardych, wtajemniczenia się ciężkiego: ale czegobym wymagał od kobiéty, którąby mi się tym sposobem podbić i pozyskać zdarzyło, to jest, ażeby *wiarę* we mnie, równie jak ja w niéj, pokładała. Dla tego, kto ma *wiarę*, ani odległości miejsca, ani przeciąg czasu, nie istnieją; takich kochanków traf ślepy, który lubi szydzić i oszukiwać; napróżnoby rozdzielał, przez czas dłuższy lub krótszy; napróżnoby rozrzucił w odległe, rozmaite i nieznane krainy; ocean wzburzony może huczeć pomiędzy niémi; lecz oni posiadają *wiarę* wza-

jemną jedno w drugiego, *pitiens quia aeternus!* Przez *wiarę* to się Religije i mocarstwa gruntują, z *wiarą* to, wielkich się rzeczy dokonywa! Ale do tego potrzeba wyniosłéj i pogodnéj pojętności, cnoty, któréj mi się u białych-głów natrafić nie zdarzyło, któréj nie natrafię podobno nigdy.... Od téj niewiasty, którąbym kochał, od tego wzoru doskonałości, który wyroiłem sobie, nie wymagałbym tych zwyczajnych dowodów przywiązania, którym się zaprzeczać słusznéj wartości nie wzbraniam: lecz prosiłbym jéj, wyrzecz w głębi serca twego: *kocham go!* A tę przestrzeń, którą los oddzielił nas od siebie, przeniknę ją w jednéj chwili; twój anioł stróż wyjawi ją mojemu: powiedz tylko, w głębi twojego serca: pokładam w nim *wiarę*; a człowiek ten zaufania twojego nie zawiedzie; stanie się on równie wielkim, jak ten cel, który sobie zamierzył; będzie czuwał nad tobą, nad twoją rodziną, nad wszystkiém, co ciebie otacza; będzie się przypatrywał tobie, w róży, którąś zerwała; przemówi do ciebie z książki, którą czytasz: jest to parabola ewangeliczna. Tomasz nie widział ran Chrystusowych, ponieważ nie miał *wiary*.— Mój biédny Ludwiku, rzekł Wilhelm, ściskając za rękę swojego przyjaciela, owoż za wiele szaleństwa; albowiem tylko co *Werthera* przeczytałem.

— Jako! ty nic tego nie czujesz, coś powiedział?

— Byłem niegdyś tęgi w retoryce.

Ile czasu przeminęło, pomiędzy tą przechadzką dwóch studentów z *Munich*, a datą następującego listu w Styczniu 1814 roku pisanego, niewiadomo; ale oto co Ludwik odebrał, dnia pewnego z Berlina, dokąd się Wilhelm był udał na słuchanie kursu Hegel'a:

«Przyjacielu, zawsze ty byłeś najpewniejszym i najmilszym moim powiernikiem, przypomnisz sobie, żem opuścił Munich, z umysłem nieco rozstrojonym; nie wiém jakie zamięszanie i co za burza odbywała się w moim mozgu: krew moja wszystka burzyła się w mych żyłach; zwijałem się pod brzemieniem nieuleczonéj melancholii.— Wyjechałem do Berlina. — We wszystkiém tém był palec Boży! — Nudności, powątpiwanie, upadek na sercu, wtąż się za mną udały. Jakim sposobem to wszystko dzisiaj pierzchnęło, jak piękniejszy horyzont otworzył się nagle przede mną, jest to rzecz, z któréj sam przed sobą zaledwo sprawę zdadź mogę, a któréj się, zapewne, wykładać i wyjaśniać nie podejmę. Serce moje wezbrane jest i wraz radośne: było to zjawisko fantastyczne, marzenie, promyk słoneczny, potém wszystko się pogrążyło w zaćmieniu; a wszelakoż, lubo wtrącony do ciemności, widzę jasno, jak gdyby świetna kolumna, która na chwilę przede mną zabłysnęła, zawsze znajdowała się przy mnie. Czerpam moję nową mądrość w chwili

szału, a moje rozradowanie, w przypomnieniach. Dziewica ta nazywa się Alicja, piękne imie zaiste, Szekspir nazwałby ją Ofeliją, Dante Beatriką; cóżkolwiekbądź, Alicja tych i podobnych im wszystkich jest rodzoną siostrą. Nie odmaluję ci jéj portretu, patrzyłem na nię przez dni piętnaście, nie myśląc o tém, że ją oglądam. Dosyć tobie będzie na tych wskazach. Z drugiéj strony, żywe uczucia do milczenia człowieka przywodzą; nicem, prawie, do powiedzenia jéj nie znalazł, i ledwo list mój dokończyć zdołam.

«Ludwiku, jakże to życie nasze jest gorzkiém oszukaństwem! jakiém urągowiskiem okrutném! Ujrzałem szczęśliwość na to tylko, ażebym tém dotkliwiéj stratę jéj uczuł. Albowiem wtenczas, kiedy ci mówię o mojém szczęściu, o moich marzeniach na około nas rozlega się łoskot nawalnéj burzy; w mojém położeniu jednego z naczelnych członków obrońców sprawy ojczystéj, nie mogę się uchylić, bez hańby, od uczęśnictwa w wojennéj wyprawie. Sędziwy Blucher! zaprosił mię wczora do siebie na obiad. Hasło święte, *vivat Teutonia!* któreśmy piérwsi podnieśli, we wszystkich się sercach rozległo; tak jest mój Ludwiku, potrzeba Berlin opuścić:, udajemy się do Francyi; ja się wybiéram z kompaniją poety Körner'a. O Ludwiku! rozłączenie się jest srogą boleścią! wyrażenia Horacyusza, *Robur et aes triplex*, jest nader sła-

be, dla wyrażenia téj nienawiści, jaką ja w téj chwili czuję przeciwko temu, który, rozprzestrzeniając odległości, rozdzielił tych, co się na wieki z sobą połączyć powinni, my mężowie nie mamy łez w oczach, ani jęków w ustach, nic ulgi udręczeniu naszemu przynieść nie zdoła; serce nasze nieme nabrzmiewa i w cichości piersiami miota; ale się znajdują łzy z roztopionego ołowiu, których nikt nie postrzega, westchnienia których nikt nie słyszy. Oddalić się.... wystąpić w pole!... a to natychmiast, bez udzielenia wyrazów, tyle przynajmniéj, ile potrzeba do zapisania karty. Oh! dla pozostania w Berlinie, skróciłbym chętnie życie moje do połowy. Gdybym ją mógł, przez kilka dni jeszcze oglądać, a byłbym jéj pewnym tak, jak pewny jestem samego siebie: ale któż mi zaręczy za to, że ona głos mój, pomiędzy innémi, obijającémi się o jéj uszy rozróżniła? Mniéj aniżeli kto inny szafowałem dla niéj pochwałami, oblicze moje miało niewzruszoną obojętność, moje wyrazy oziębłe były grzecznémi. Kiedy dusza żywo jest wzruszona, pogardza wtenczas wylaniem się na zewnątrz; nasze języki cielesne nader są niedołężnémi, ażeby zażyć ich mogła. Ale byłoby to powątpiwaniem o dobroci bozkiéj, żeby porównywać ten promienisty utwór do gminu innych niewiast. Bluszcz wije się około dębu tylko, a jeżeli tego potrzeba, *miałbym wolą*. Do nas dwojga teraz świat ten należy; tak zaiste, oddalę

się: mojém jest pole bitwy, mojémi stopnie, epolety, znaki zaszczytów, albożem nie jest nie przystępny ranóm? tak *chcę*, być jenerałem: słyszę hasło do siadania na koń, żegnam cię Ludwiku!»

Europa wywarła na Francyą oddziaływanie swoje, całe się Niemcy podniosły, ukazywali się, tam i ówdzie, pomiędzy żołdactwem poeci, jak Körner i Wilhelm z bohatyrskiém męztwem: obrona orła była straszliwą; dwadzieściakroć zgniótł on zastępy wrogów, a płaszczyzny *Montereau*, *Champaubert*, *Montmirail*, słyszały odgłosy zwycięztwa, niezdolne, niestety! opoźnić upadku. Sprzymierzeńcy, z tryumfem, do swojch siedlisk powrócili; ale Wilhelm nie pokazał swojéj Alicii Ludwikowi; nieprzerwanym snem obok Körner'a spoczywał.

(Stoffer.)

Metoda uczenia Pana Żakota (Jacotot), rozwinął i objaśnił Karol Klaudyusz Wiszniewski, doktor medycyny, w Imperatorskim uniwersytecie Charkowskim adj. profes., Cesarskiego Towarz. Medycznego w Wilnie członek, uniwersytetu w Jena filozofii Doktor.—Nakładem autora.— Wilno. —W drukarni M. Romma, 1837. str. III. 79. 8vo.

Pisemko to z kilku składa się części. Autor we wstępie surowo zgromiwszy wszy-

stkich w powszechności za obojętność, iż dotąd nie zwrócono uwagi na nową metodę, namieniwszy ogólnie o niedokładności dotąd używanych sposobów uczenia, stara się wytknięciem wad i uchybień systematów zwykle przyjętych w nauce, okazać wyższość metody P. Jacotot, która, zdaniem jego, jest najzbawienniejszą w umysłowém kształceniu młodzieży, bo opartą jest na téj zasadzie, iż dziecię myśli i, za pomocą rozwinięcia téj zdolności, rozwija następnie wszystkie jego władze umysłowe i ukształca serce. Podług założonego planu, cała metoda dzieli się na dwie części, na PRZYGOTOWUJĄCĄ, *w któréj dziecię przy rozwijaniu władz umysłowych uczy się czytać, pisać i ojczystego języka*, i na część UCZĄCĄ, *w któréj nabywa nauk, sztuk i języków z ułożonych na ten cel epitomów czyli kursów.* W części I. wyłożone są prawidła uczenia czytania z przyłączeniem wzorów VI lekcyj do tego posługiwać mających, daléj podane są sposoby nauczenia się pisania we III lekcyach; nakoniec w téjże części są zawarte ćwiczenia w liczbie XX służące za wzór do nauki języka ojczystego, *przy któréj rozwijają się władze umysłowe i ukształca serce.* Część II jest najkrótszą, bo ją prawie sam tylko napis *uczenie nauk języków i sztuk* stanowi. W niéj, podług słów autora, wypadałoby przedstawić wykład skróconych kursów zastosowanych do nowéj metody, i chociaż autor ma je przygotowane w ojczystéj mowie, lecz go

teraz od jeh ogłoszenia wstrzymały *pewne nader przyjemne powody*. Kilka uwag bardzo ogólnych o metodzie uczenia Chronologii przez P. Jaźwińskiego, o projektowaném przez autora połączeniu jéj z metodą Jacotot, o korzyściach ztąd wyniknąć mogących i o sposobie uczenia języków przez obrazy, według Metody P. Oertel'a, zamykają w kształcie *post scriptum* całą książeczkę.

Oto jest krótka treść pisemka, wypisana po większéj części słowami samego autora. Przestajemy na udzieleniu téj krótkiéj o niém wiadomości, gdyż nie wiémy jakby począć należało, gdyby przyszło obszérniejszą zeń zdadź sprawę. Próżno bowiem autor *ciska* na nas swe *objaśnienia* (wyrażając się jego sposobem), napróżno chwyta nasz umysł w *kleszcze* swego rozumowania, trudno jest z krótkiego téj nowéj metody wykładu, z zapałem przez autora wychwalanéj, przekonać się, o ile ona jest wyższą od zwykle używanych w uczeniu sposobów, zwłaszcza, że przywiedzione przykłady, te *stosy* i *szeregi* wyrazów, zgłosek i pojedynczych liter, wprost do nałogowego mechanizmu zaprawiające, zdają się wbrew przeciwić zasadzie metody, za główny cel zakładającéj, kształcić władze umysłowe dziecięcia, obudzając w niém zdolność myślenia. Dla tych więc, którzy nie mieli sposobności widzieć w praktyczném zastosowaniu, w zakładach szkolnych, metody P. Jacotot, i przekonać się o zadziwiających skutkach tego nowego

uczenia sposobu, wypadało albo ją obszérniéj we wszystkich szczegółach rozwinąć i dowodnie wyłożyć, lub przynajmniéj, dla pragnących powziąć o niéj dokładniejszą wiadomość, wskazać źrzódła, z których sam autor czerpał potrzebne objaśnienia. Nie wątpimy, iż uczony autor, dbający o dobro edukacyi publicznéj, ożywiony szlachetną chęcią usłużenia powszechności, sam lub z pomocą uczonych mężów, o których *z wdzięcznością i prawdziwą roskoszą* w swém piśmie wspomina, dokona tego chwalebnego dzieła. Wszakże mu nie grozi ani los skazanego na wygnanie z Francyi Jacotot, ani inne na zawadzie nie stają niebezpieczeństwa. Czekajmy więc nim *pewne nader przyjemne powody,* teraz wstrzymujące autora od ogłoszenia pojedynczych kursów, dozwolą mu wydadź na świat metodę P. Jacotot w zupełności, ze wszystkiémi objaśnieniami. Tu tylko dodamy uwagę, iż życzyćby należało, aby w rozlicznych téj cudownéj metody zastosowaniach, niepominiono nauki, nader dla autorów potrzebnéj, poprawnego i zrozumiałego pisania.

—Pisma rozmaite autora Pana Jana ze Świsłoczy.—Wilno.—W drukarni A. Marcinowskiego. — 1837. Tom I. str. 211. Tom II. str. 239. in 12mo.

Prócz tego tytułu ogólnego, nosi jeszcze Tom I.

Pani Kasztelanowa i jéj sąsiedztwo.

Powieści z końca XVIII wieku, przez autora *Pana Jana ze Świsłoczy*. Z godłem: — Wspomnienia przeszłości są roskoszą starych. — T. I. Nakładem Autora. — T. II: Teatr. — Wolny przekład, lub naśladowanie z Pana Scibe i innych. Przez autora *Pana Jana ze Świsłoczy*. T. I. Nakładem autora. (Bez godła.)

W tomie piérwszym zawiérają się dwie części *Pani Kasztelanowéj*, czyli, tak nazwane dwie *powieści*: piérwsza mą za tytuł, Pan Wojski; druga, Państwo Cześnikowstwo.

Treścią tych scen, trafnie wystawionych, domowego wiejskiego życia, pokolenia współziomków naszych, które już, po większéj części wygasło, a w szczątkach swoich, gdzie niegdzie jeszcze dogorywa, jest, jak następuje:

Pan Władysław, młodzian pięknych przymiotów, który w uniwersytecie wileńskim stopień kandydata filozofii otrzymał i zamierza sobie udadź się do Stolicy Państwa, dla wejścia do służby Monarszéj, odwiedza domy wiejskie powinowatych i przyjaciół swoich rodziców. Widzimy go najpiérwéj wysiadającego przed gankiem domu Pana Wojskiego, któremu gdy oświadczył, iż był synem dawnego przyjaciela jego i współtowarzysza służby na dworze książąt Radziwiłłów; rządny ten, uprzejmy i dobroduszny ziemianin, przyjmuje go z serdeczną gościnnością, zaprasza na przepędzenie dni

kilku w swoim domu, i w czasie téj gościny opowiada o swoich rodzicach, o swym dziecinnym wieku, o wychowaniu domowém, o wyprawie na dwór książęcy, tudzież o wysługiwaniu się tam od pokojowca aż do stopnia dworzanina, potém deputata na trybunał, chorążego pancernego i koniuszego, gdzie się czynniejszy zawód dla młodzieńca otworzył, w którym spełniając wszystkie poruczenia dawane sobie, sprawuje się bacznie i uczciwie, pozyskuje względy książęce, zapomaga się jego dobrodziejstwami, żeni się nakoniec z jedną z panien z orszaku księżnéj hetmanowéj, osiada we własnéj szlacheckiéj, dobrze zagospodarowanéj majętności, i tam służąc przyjaźnie domowi książąt Radziwiłłów, dobroczyńców swoich, współobywatelóm i krajowi, w różnych kolejach zmiennych jego losów, błogie życie przepędza.

Jest to zaiste, chociaż nie obraz wykończony w szczegółach i drobnych odcieniach, ale szkic biegłą skréślony ręką, z największą prawdą wystawujący oryginały. Zwłaszcza, kiedy autor wprowadziwszy nas na dwór książąt Radziwiłłów, opisuje jego zwyczaje, urządzenia i pamiętniejsze obchodzone tam uroczystości. Ciekawym jest obrząd weselny P. marszałka dworu:

«Ale, ale, mówi P. wojski do Władysława, o dworze: muszę się uiścić z przyrzeczenia opowiedzeniem tobie Panuleńku, wesela Pana Marszałka.

«Po *konsensie* na ten *marjaż* obojga księztwa, był wyznaczony dzień aktu i całe sąsiedztwo nań zaproszono. Posłano nawet w odleglejsze strony po familiją obojga państwa młodych. W wigiliją ślubu, to jest: w dziewiczy wieczór, księżniczki z pannami dworskiémi zasiadłszy uroczyście w głębi sali, pięknie oświeconéj, splatały dziewiczy wieniec z rozmarynu i klejnotów. Kawalerowie bawili się w mieszkaniu pana młodego, sposobiąc się na porządną kawalkadę do *assystencyi* jemu. Przewijały się flaszki węgrzyna z piwnicy książęcéj, ale pomiernie, tyle, aby dodadź do zabawy dobrego *kurażu.* W godzinę wieczerzy, zebrali się wszyscy na salę pałacową, mężczyzni byli osobno zdaleka od dam. Za przybyciem obojga księztwa, panna młoda, otoczona druchnami, nizki pokłon oddała książęciu jegomości, który ją w głowę pocałowawszy przeżegnał; a w tymże czasie, pan młody, w assystencyi kawalerów, bił czołem księżnéj pani, i uczczony został wolnością ucałowania jéj ręki. Po wieczerzy, tańce rozpoczął książę sam z panną młodą, ochota do poźna się przedłużała. Wszakże pan młody nie miał wolności tańcowania z oblubienicą, ani nawet z nią rozmawiania; ile razy zbli-

żał się do niéj, druchny natychmiast robronami swémi, jak fortecą, ją otaczały i broniły przystępu.

«Nazajutrz rano (była to niedziela) wszystko się zajęło weselnym aktem; w pokojach paradnych ubiérano pannę młodą, siedziała ona pośrzodku komnaty na dzieży, w któréj chleby pieką, pokrytéj bogatym kobiercem a po wierzchu błamem soboli. Druchny rozplatały jéj warkocze, ubiérały w biały lamowany robron, bukietami z kwiatów i korunami ozdobiony. Klejnoty, perły, łańcuchy złote i tym podobne *pretiosa* nie miały miejsca, uważano je bowiem za godło nieszczęścia i smutku. Podobnież kolory czerwony i czarny przez żadną z dam nie były użyte. Suknia ślubna dla panny młodéj i bogate robrony dla cztérech druchn, były z garderoby księżnéj jejmości i nazawsze przy każdéj zostały. Tymczasem w pokojach książęcia pana zbiérali się mężczyzni. Pana młodego, dwóch kawalerów przybocznych i trzech nas *oratorów* ubiérał szatny książęcy z jego garderoby. Kawaler w bogatym lamowym żupanie, axamitnéj, sobolami bramowanéj, czamarze, w kołpaku sobolim, czaplém piórem i pięknym z rubinów klejnotem, ozdobionym, przypominał szczę-

śliwsze zygmuntowskie czasy. My równegoż pokroju bogate mieliśmy suknie, książę pan nie był z nami, lecz przez boczne apartamenta przeszedł do księżnéj jejmości.

«Gdy wszystko gotowe było, dwóch paziów księżnéj, po hiszpańsku ubranych, przyniosło na złotéj tacy wieniec dziewiczy. Odebrał go pan cześnik piltyński, krewny pana młodego, i w krótkich wyrazach podziękowawszy, oddał panu koniuszemu dworu, który poprzedzony przez tychże paziów, otoczony dworzanami udał się do panny młodéj. Siedziała ona jeszcze na dzieży, otoczona w pół koła gronem strojnych dziewic, na niższych taboretach pomieszczonych. Za otwartémi drzwiami bocznéj komnaty siedzieli oboje księztwo, a za niémi w oddaleniu poważniejsze matrony dworu. Pan koniuszy, oddający wieniec, *acuminosę*, przemówił oracyą, po któréj księżna *in assistentia* dygnitarek swoich weszła do dziewiczéj sali. Powstała panna młoda, prowadzona przez druchny, i upadła do nóg téj pani, która przypięła jéj wieniec i ze łzami czułéj matki błogosławiła. Szlochy solenizantki i wtór, chociaż słabszy wszystkich niewiast, akordowały tym lamentóm. Gdy księżna jejmość i damy na swe powróciły miejsca, wy-

stąpił pan strukczaszyc latyczewski, ciotecznv brat panny młodéj, z perorą *gratyfikacyjną*: w któréj nie szczędził dzięków i pochwał księztwu ichmościóm. Po tych obrzędach wprowadzono pana młodego; księztwo siedzący błogosławili mu, i tak ruszono do kościoła.

«Dwanaście karet dworskich, zaprzężonych cugami, w bogatych srébrnémi sztukami nasadzonych szorach, zabrało pannę młodą i damy. Mężczyzni na dzielnych wierzchowcach, tureckiémi okrytych rzędami, assystowali panu młodemu. Młoda z druchnami klęczała przez ciąg nabożeństwa na kobiercu, a młody, po drugiéj stronie kościoła, z przybocznymi kawalerami. Po mszy świętéj ksiądz prałat ogłosił ostatnią zapowiedź, zabrzmiało *Veni Creator*, przez kapelę dworską *melodjowane*, po którém tenże prałat, w długiéj przemowie, zalecał nowożeńcóm, już to obowiązki przyszłego stanu, już niewygasłą wdzięczność księztwu ichmościóm i oświeconéj ich *generacyi*. Po ślubie ruszono na powrót do zamku, w tejże saméj kalwakadzie, z tą tylko odmianą, że zaślubieni jechali w paradnéj książęcéj karecie, zewnątrz blachami srébrnémi i herbami złotémi, wewnątrz axamitem karmazynowym

i galonami *adornowanéj*. Do obiadu zasadzono młodych na piérwszém miejscu. Książę pan raczył sam wnieść toast za zdrowie i pomyślność *sukcessów* wiernych sług swoich. Po skończonym stole *serenissimus* wprowadził pannę młodą do sali balowéj i polski taniec z nią przetańcowawszy oddał do rąk mężowskich. Umilkła kapela, ja wystąpiłem na przód i dziękczynną wypaliłem mowę. Oto jest: przeczytaj ją panuleńku, jeśli masz ciekawość.»

«Czytałem więc jak następuje:

Mowa przy oddawaniu JPanny Horodniczanki.

«Trudno nie przyznać tak oczywistéj prawdy, codziennémi utwierdzonéj *experimentami*, żeć przecie niebieską władacie władzą Jaśnie Oświeceni ziemscy *potentaci*, państwo nasze łaskawe, miłościwi książęta i najosobliwsi dobrodzieje!.. Źle, źle osądził, ktokolwiek ślepą fortunę uczynił szafarką *vicissitudinum* szczęścia ludzkiego; któréj poruczył *arbitraria rerum humanarum*, którémi dysponuje *sorte non ratione*. Słaba to bogini, kiedy wnijdzie w konkurencyą z bóztwami waszémi, *terrarum numina!* Łaska-

wi książęta! wy jesteście, wy sami *arbitri* obojéj fortuny, szczęścia i nieszczęścia powierzonych sobie *klientów*. Wy *dispensatores favorum i disgracyi* w przypadających *sukcessach* naszych. We wszystkich tych przeciwnych skutkach *eminet* nader wysoka władza wasza, *supereminet* jednak wtenczas, kiedy dobrocią i łaskawością, łaską i *favorem* panujecie! Posyłacie jednym w domy niezliczoną gromadę honorów, drugim *cornu copia* wszystkich dostatków i bogatych fortun, zostawując *in haereditatem* nieoszacowane *splendory* na wiekopomną pamiątkę swojéj szczodrobliwości. Wszystko to są łaski i *favory*, ale jeszcze niedoszłe, jeszcze niedoskonałe. A takci i sam Najwyższy osądził to Pan, że nie wszystkie w tych potocznych szczęścia zamykają się *prosperitatum* ludzi granice. Bo kiedy piérwsze stawił dobrodziejstwa swego na widok świata *munimentum*, piérwszego człowieka, zgromadziwszy w nim wszystkie zacności, jako w dziele rąk swoich, uczyniwszy go sprawiedliwym *hujus universi* jednowładzcą, poddawszy pod nogi jego wszystkie państwa i mocarstwa świata tego, nie w tém założył termin i granicę dobrodziejstwa swego, ale poszedł *plus ultra* i przyprowadziwszy na ostatni *com-*

plement przyjaciela szczęścia dobrego, *in adiutorium*; dopiéro sam osądził i deklarował, że *quidquid fecit* było *valde bonum*. Wszystkie splendory wysokie zgasłyby były, obfite dostatki stopniećby musiały, wszystkie szérokie państwa i prowincye w dzikie obróciłyby się pustynie, gdyby nie żona przykrasiła to była i uczyniła to wszystko *valde bonum*. Żywy przykład bóztwa tego dajecie dnia dzisiejszego jaśnie oświecone księztwo państwo nasze najłaskawsze! na widok światu polskiemu, w osobach téj zacnéj pary, łaską i dobrodziejstwem waszém spojonéj! Wydawa się w oczach naszych dość łaski i *favoru* pańskiego, kiedyś tego kawalera, w młodym wieku jego, przybrał do pokoju swego książęcego, aby w pałacu pańskim polerował młodość swoję i sposobił się do dalszych usług twoich. Alić nie tu stanęła dobroczynność waszéj książęcéj mości, prędko z pokoju przeniosła go do ważniejszych funkcyj i przypuściła do tajemniczych woli pańskiéj sekretów! Przecięż ledwie co i tam miejsce zagrzał, kiedy wasza książęca mość czynisz go marszałkiem, rządzcą domu i dworu pańskiego, stróżem najbliższym oświeconych *person* waszych miłościwe księztwo! A czegożby nie dostawało

do dalszéj szczęśliwości? przy zlanych już *distinctoriach* ziemiańskich, tak wypielęgnowanemu dobroczynnością twoją! Przyznam: że wszystko było *bonum*, ale jeszcze nie *valde*! Tu dopiéro *coronis coronat opus* łaski waszéj książęcéj mości, którą kładniesz na głowę jego dnia dzisiejszego! *Uxor bona, corona capitis ejus*. To jest *complementum* wszystkich łask i dobrodziejstw, to *monumentum*, które przydane na szalę szczęścia jego, wszystkie inne przeważa szczęśliwości.

«O księżnéj zaś jejmości, miłościwéj pani naszéj, cóż mam powiedzieć? Azaż nie témi stopniami postępowała w formowaniu swojéj kreatury? w osobie téj zacnéj damy, Jmć panny horodniczanki. Wychowała ją w świątnicy swéj pańskiéj, gdzie wszystkie wysokie panieńskiego wstydu przymioty, wszystkie wypolerowanéj grzeczności ozdoby, wszystkie doskonałéj pobożności i skromności *decora*, stateczną sobie założyły stolicę.

«Tak więc bywa w tych ordynaryjnych weselnych *aktach*, żeśmy zwykli od *kandydatów* naszych *perorować*, wysokie im przyspasabiając *elogia*; pokazując, że równy równego bierze, że *beneficium dat, qui quod dignus accepit*. Ale to sprawa bywa *inter*

privatae fortunae homines, inakszych *komplementów* z inakszego *rituału* trzeba, biorąc żonę w domu książęcym. Mógłbym ci ja tu wspomnieć wszystkie starożytności i zacności domów ichmościów *Consortes*, mógłbym znaleźć plac *konfrontowania* szlachectwa polskiego z cudzoziemskiémi tytułami; wolności naszéj z obcémi dymami i *fumami*, ale *omnis comparatio odiosa*, mógłbym wywieśdź (kiedyby nie z domem waszéj książęcéj mości sprawa była) staropolski ich *parenteli* klejnot; ale, że sprawa z waszą książęcą mością, *in humilitate cordis* trzeba mówić: *non sum dignus Domine!* A cóż tedy za koniec będzie? *Finis dicendi cum Illustrissimas gratias agere.*

«Dziękuje tedy jegomość pan oboźny, a dziękuje głęboką uniżonością waszéj książęcéj mości, żeś stér życia i fortun *priwatnego* szlachcica, raczył wziąć w swą pańską rękę, i przypławił szczęśliwie do pożądanego portu. Dziękuje tobie jaśnie oświecona księżno, *adeptus in familiam* sługa, żeś go osadziła w tak godnym *speciale* wychowanicy swojéj. Przyznawa, że w tym jednym drogim klejnocie, wszystkie szczęścia, wszystkie ozdoby, wszystkie *fortuny*, wszystkie ludzkie wymysły *et solidorum et fortuitorum* od-

biéra *kontentece*. Jako tedy obojgu waszym książęcym mościóm, za tak hojne dobrodziejstw *inundacye* mniéj nie może bydź winien nad *honor*, zdrowie i wszystkie *fortuny* swoje, które przy dostojeństwie waszéj książęcéj mości ważyć powinien; tak temu towarzyszowi swemu, z łaski pańskiéj nabytemu, wieczną miłość, pieszczoną ochronę oddawać będzie niepochybnie i dożywotnie. Ten na się obowiązek, pod utratą tego, co ma najmilszego w świecie, łaski waszéj książęcéj mości na się kładzie. *Dixi* (*).»

«A cóż? albo nie górnie?» rzekł pan wojski: «makaronizmy łacińskie były w modzie Panuleńku, tak, jak teraz francuzkie. Każdy wiek ma swoje śmiészności, ale mniejsza z tém, wróćmy na wesele.

«Gdym skończył *perorować*, pan młody z żoną rozpoczął tańce. Po północy zniknęła panna młoda z kompanii i zaprowadzona była przez panią łowczyną do offi-

(*) Mowa ta wypisana, ze skróceniem i odmianą, do okoliczności stosowną, z dzieła: *Swada polska i łacińska albo Miscellanea Oratorskie przez Jana Ostrowskiego Danejkowicza, sekretarza J. K. M. zebrane.* W Lublinie 1745. in folio.

cyn, gdzie osobne dla nowego małżeństwa przygotowano komnaty. W godzinę poźniéj zakończyła się ochota; mężczyzni, poprzedzeni kapellą, prowadzili pana młodego do oblubienicy. W piérwszym pokoju ustawione były słodkie przekąski z korowaju cukrowego, konfitur i rozlicznych bakalij składające się. Damy zamężne otoczyły łakotki, a mężczyzni kieliszkami życzenia połączonéj parze przesyłali. Omijam winną polewkę i inne ceremonije dnia następnego; ale hojności książąt ichmościów zamilczeć niepodobna. Piękne łóżko z adamaszku czérwonego z galonami; obicie szpalerowe na ściany sypialni; gotowalnia i naczynia kawiane srébrne; kanak i zausznice z klejnotów; gardéroba kosztowna i dostatnia; nakoniec mnóztwo ochędóztwa kobiécego, składało wyprawę pani oboźnéj: a na posag 8,000 złotych ze szkatuły pańskiéj wyliczono. Niemniéj hojnie obdarzony był małżonek: dostał w zastawę wieś porządną, chat 40 osady, w summie podarowanéj 20,000 złotych z dzierżawą jéj dożywotnią; kolaskę z piękną furmanką cztérokonną; wierzchowca arabczyka, bogatym okrytego rzędem, i rozliczny sprzęt męzki, godny książęcego skarbu. W rok potém opuścili dwór państwo

obożnieństwo i na własną przenieśli się dzierżawę.»

. . . .

«Ostatnie lata funkcyi mojéj koniuszowskiéj, odznaczone były dwiema znamienitémi festynami u dworu naszego: obie kaducznéj zadały mi pracy. Piérwszą był wjazd na województwo wileńskie: na tę paradę ruszył dwór cały i wojsko Radziwiłłowskie. Nie śmiéj się panuleńku, że używam tak szumnego tytułu; bo książęta mieli 2,000 jezdnych, 6,000 piechoty wówczas, kiedy cała rzeczpospolita 18,000 na papierze, a w rzeczy niewiele więcéj nad dwanaście liczyła regularnego żołnierza. Wjazd do Wilna zaczął się rano o godzinie 8, a skończył się ledwie o 6 wieczorem. Ruszył przodem za trębaczami półk ułański, z tysiąca ludzi złożony, potém maszérowała piechota, za nią drugi kawaleryjski *regiment*; *tandem* książę wojewoda na koniu bogato przybranym, otoczony urzędnikami i szlachtą swojego województwa. Ciągnęły się daléj pojazdy: karéta paradna, srébrną zwana, którą powyżéj opisałem; do niéj zaprzężony cug, ośm koni białych, grzywy i ogony pąsowo malowane, w szorach jedwabnych niebieskich, ze sztukami srébrnémi pozłoci-

stémi, czuby i trzęsidła tejże barwy i z tegoż kruszcu. Otaczało ją dwunastu hajduków sążnistych, na wielkich hiszpańskich koniach, w barwie książęcéj; lecz w téj karécie nikt nie siedział, oprócz faworyta wyżła, który ciekawemu gminowi, zamiast oblicza wojewody, ukazywał ogromny swój łeb i zawiesistą paszczę. Daléj dwadzieścia cztéry karéty sześciokonne, szór pozłocisty, za każdą po dwóch pajuków w liberyi i wysokich niedźwiedzich kołpakach. Za témi kolasy, półkrytki i w końcu wozy kredensowe, gardérobne, kuchenne z przyboczną strażą na koniach. Słowem: sto cugów, czyli sześćset zaprzężnych koni na ten wjazd wystąpiło pod moim ordynansem, bo taka liczba składała zwykle (oprócz wierzchowców) stajnię książęcą. Prawda, że w czasach zwyczajnych, tylko 25 cugów stało ciągle w Nieświżu, a reszta pod dozorem podkoniuszych, pasła się w dobrach ukraińskich, i co kwartał po kolei się zmieniała; ale w ważniejszych okolicznościach, cały komplet był na miejscu, i tego uchybić nie godziło się.

«Co się to działo panuleńku w Wilnie przez cały tydzień! Stoły dla szlachty otwarte po wszystkich radziwiłłowskich pałacach (a było ich pięć, oprócz kamienic).

Po rynkach woły pieczone, wódka, miód i piwo kufami dla pospólstwa. Fajerwerki, illuminacye, maszkarady, komedjanci, kuglarze, łamigrzbiety, wszystko jedno za drugiém sznurem następowało: z psami, końmi, małpami, wszystko karmiła, poiła, odziewała i płaciła szkatuła pańska. A jednakże starczyło! Prawda, że długi jak grzyby rosły, że folwarki szły pod zastawę; ale nic na dziedzictwo nie wyprzedano. Na najmniejszą o tém wzmiankę oburzał się książę wojewoda i z niesmakiem odpowiadał: «Panie kochanku, Radziwiłłowie rozdawali szlachcie darmo fortuny, ale żaden nic przedawał.»

. . . .

«Wiadomo dobrze, że książę Karol, przy elekcyi króla Stanisława Poniatowskiego, nie był jego *partyi*. Wszakże na sejmie *pacificationis*, po konfederacyi Barskiéj złożonym, król pragnął szczerze z nim się pogodzić i na swoję przeciągnąć stronę. Zdawało się, że i książę życzył tego, bo nie schodziło na powierzchownych *attencyach*, ale co się w sercu działo, następna *dykteryjka* da poznać. Książę nie tylko nie był wykwintnym w ubraniu, lecz nawet zaniedbany i nieochędożny. Żupan materjalny biały, zatabaczony i poplamiony, kontusz

mundurowy województwa wileńskiego wytarty; to była jego suknia paradna. Tak często jeździł do króla i niesłychane prawił *ambaje*, z których śmiać się należało, chcąc przypodobać się jemu.

«Razu jednego, król jegomość widząc go w dobrym humorze, rzekł: «Mój książę! ciebie cały naród poważa i kocha, lecz należy i powierzchownością się podobać, dla tego radziłbym, abyś dbał więcéj o twój ubiór: suknie twoje tak są zużyte, iż nie pokazują kim jesteś.» — «Panie kochanku najjaśniejszy Panie!» odpowiedział książę: «łatwiéj waszéj królewskiéj mości, panie kochanku, wszystko nowe a nowe, ten zaś mundur, panie kochanku, najjaśniejszy Panie! już trzynasty z kolei Radziwiłł wojewoda wileński na sobie nosi, to niedziw, że się podszarzał.» Nie do smaku była zapewne królowi ta *exkuza*; nie przestał wszakże dawać książęciu coraz większych dowodów pańskich *respektów* swoich, przyrzekł mu nawet bydź osobiście w Nieświżu, co też i spełnił w 1782 roku. Potrzeba koniecznie opisać tobie panuleńku tę nie lada gościnę, ale dziś już spoźniona pora; jutro, jeśli Bóg pozwoli, uiszczę się z tego.

«Dotrzymał słowa pan Wojski, i nazajutrz przed obiadem tak mówił:

«Pragnął książę Karol, szczególniejszą wystawą i przepychem, okazać królowi zamożność starożytnego domu swego, i jeśli go przez to niejako nie upokorzyć, przynajmniéj dadź uczuć na czyim gości zamku.

«Otworzono odwieczne skarbce książęce, przechowane dotąd szczęśliwie w pośrzód tylu burz krajowych. Kredensy szczérozłote, stoły, zasłony do kominów i dalsze meble, w appartamentach dla króla przeznaczonych, z czystego srébra lane; przepyszne gobelińskie obicia, równające się najdoskonalszym obrazóm, jedwabne tureckie zapony, złotémi przetykane kwiatami, słowem, bissurmański, że tak powiém, *luxus*, napełniał sale i komnaty zamkowe. Dalsze skarbcowe *rarytesa* ułożono w sześciu ogromnych izbach. Tu buławy hetmańskie i pieczęci królestwa; ówdzie książęce mitry, zatknięte na znamionach pokonanych nieprzyjaciół; tam marszałkowskie laski; ówdzie ze złota lane świętych apostołów posągi, w drogich oprawach błogosławionych męczenników *reliquie*; tam szafy za szkłem napełnione klejnotami, perłami i innémi *precjozami*; indziéj arsenał starożytnego

rynsztunku, różnych narodów i wieków, symetrycznie *adornowany*. Daléj osobliwości zamorskie, egiptskie mumije, chińskie laki, japońskie porcellany, i Bóg wié jakie galanterye! Słowem panuleńku, nie moja to pamięć i nauka opisać wszystko zdolne, i chybaby uczone kollegia *wydemonstrować* potrafiły.

«Dopiéroż jakie przygotowanie na przyjęcie pana! Cała szlachta województwa wileńskiego na te gody wezwana była, i z innych województw litewskich pobliższe zaproszono powiaty. Wojsku całemu i dworowi nowe sprawiono mundury i barwę; kapellę włoskiémi pomnożono *metrami*; suszyli łby retorowie, poeci, nad mowami, *inskrypcyami* i *invencyami* teatralnémi; nie zapomniano i o łowach. Słuchaj panuleńku tylko, jak je przyrządzono.

«Był w Albie piękny i obszérny źwierzyniec, zahodowany tylko danjelkami, a tu trzeba rozlicznego źwierza. Zza Słucka więc, w pobrzeżnych Polesia pusczach, zapędzały je obławy w przygotowane zasieki, od tych rozciągały się przez mil kilkanaście aż do źwierzyńca wązkie ulice z sieciowych wysokich parkanów, gęsto z obu stron osadzone ludźmi. Przymuszony źwierz dziki wstę-

pować w nie musiał. Niedźwiedzie, łosie, dziki, a nawet mniejsza źwierzyna szła w tę zagrodę, jak bydło do obory, gdy je ze wszystkich stron ciśnięto i gnano. W źwierzyńcu zbudowano wspaniałą altanę dla króla i znamienitszych gości. Udało się wszystko i najjaśniejszy łowiec, własną ręką, zastrzelił niedźwiedzia.

«Miałem i ja zaszczyt odebrać list książęcy, abym, jako dawny sługa i przyjaciel domu, stawił się do Nieświża. Zabrawszy więc z sobą synowca i siostrzana (bo syn jeszcze był w szkołach), opatrzywszy się jak można, ruszyliśmy saskim wozem: a masztalerze prowadzili dla każdego z nas wierzchowca, pięknym rządzikiem okrytego.

«Co się to za tłum zebrał, wyrazić trudno! Liczono więcéj dwóch tysięcy zamożniejszéj szlachty i urzędników: wszakże powiaty oszmiański i nowogródzki najgromadniéj wystąpiły. Dodaj panuleńku do tego damy, także w licznéj *frekwencyi* zgromadzone; dodaj za każdym obywatelem masztalerza lub pacholika na koniu; nakoniec policz dwór książęcy i wojsko, a łatwo zgadniesz, że się to wszystko w Nieświżu pomieścić nie mogło. Staliśmy więc na polach pod namiotami, zdawało się, że naród nie

na przyjęcie *regnanta* swego, lecz się zgromadził na obranie nowego pana. Przecięż, mimo tak wielkiego zgromadzenia, obroki dla koni i strawne dla ludzi łożnych, dostarczał wszystkim prowent książęcy.

«Gdy król jegomość, in *assistentia* pana Chreptowicza podkanclerza litewskiego i X. Naruszewicza biskupa łuckiego, podróżujący, zbliżył się o milę od Nieświża, spotkał go gospodarz, w tak licznéj stanu rycerskiego *komitywie*. Jeśli kiedy pan najjaśniejszy obwiniał książęcia Karola o niedbałość w stroju; to słuszniéj teraz nad przepychem dziwić się mu należało. Pod nim koń arabski przeżuwał złote wędzidło i takież deptał podkowy; rząd złoty klejnotami był osypany. Prawda, ubrał się i tą razą książę w mundur wileński, ale guzy brylantowe przy żupanie, spinka, karabela, szlifa utrzymująca wstęgę orderu i pióro czaple na kołpaku, również kosztownémi dziane kamieniami, przeszło 80,000 czerw. zł. taxowane były przez znawców.

«Taką paradą otoczony *Serenissimus*, zbliżał się do miasta. Piechota książęca stała po obu stronach drogi, a jazda wolnym marszem ruchome formowała linije. Kalwakatorowie, herbami książęcémi ozdobieni, za-

czynali i kończyli ten pochód. Na ścianach zamkowych powiéwał proporzec, również z godłem ich świetnéj *parenteli*, a z wałów nieustanna strzelba harmatna i odgłós dzwonów kościelnych, obwieszczały okolicóm Nieświża przybycie najjaśniejszego *koronata*. Zatrzymał się on przed farą, i przyjąwszy święconą wodę z rąk proboszcza Katembring'a ex-Jezuity, wstąpił w progi świątyni, a poprzedzony przez gospodarza, zajął plac godny siebie, na majestacie umyślnie wystawionym. Tron otaczało sześciu rycerzy olbrzymiego wzrostu, z nóg do głowy odzianych w stalowe zbroje. Po krótkiéj modlitwie króla, ksiądz Katembring przemówił dziwnie pięknie do najjaśniejszego pana! O! panuleńku, był to sławny *retor*, dotąd pamiętam początek tego powitania. Słuchaj Waćpan:

«Nie zadziwia to Radziwiłłowskiego do-«mu, najjaśniejszy panie, że królowie pol-«scy bywają w Nieświżu. Był tu Zygmunt «August, ostatni drogiéj krwi jagiellońskiéj «potomek, bo się starał o Barbarę Radzi-«wiłłównę. Był tu Michał Korybut Wi-«śniowiecki, bo blizką krwią łączył się «z Radziwiłłami. Był tu pogromca «Wschodu niezwyciężony Jan Sobieski,

«bo się z Radziwiłłówny urodził. Był «tu nie jeden z zagranicznych książąt *po«tentat*, gdy się o koronę polską dobijał, «bo jéj dosięgnąć bez pomocy Radziwił«łów niepodobna było. Ale, że wasza kró«lewska mość, ze szczególnéj dobroci i «względów pańskich raczyłeś przybydź do «téj starożytnéj książąt ichmościów stolicy, «to Radziwiłłowie za zaszczyt sobie «przyznają i *favor* pański wysoko cenić u«mieją.»

«Perorował i daléj stosowną do materyi *elokwencyą*, ale ten początek wart był pozostać w pamięci. Bawił król jegomość pięć dni w Nieświżu: co tylko przepych mógł wynaleźć a *inwencya* dostarczyć, na niczém tam i do zabaw i do wygody nie zbywało. Ale te rzeczy zwyczajniejsze nie zasługują na szczegółowe opisanie.»

Do dania poznać czytelnikóm naszym téj nowéj książki *Autora Pana Jana ze Świsłoczy*, dostatecznémi będą przywiedzione tu z niéj wypisy, które i pod tym względem interesować jeszcze mogą, że są cząstką dziejów anegdotycznych, przemożnego niegdyś, a rzetelnie u współziomków zasłużonego, domu książąt Radziwiłłów.

Cała ta prawie piérwsza powieść jest w ustach pana Wojskiego: dowiadujemy się

z niéj o rodzicach pana Władysława, któremu, zapewne, w dalszym ciągu swojego dzieła, szanowny autor czynniejszą, niżeli biernego widza i słuchacza tylko, rolę przeznaczy. Pobyt jego w tym gościnnym i ze wszech miar zacnym domu szlacheckim, żadnego wypadku, w którymby młody gość jakikolwiek miał udział, nie napotyka, oprócz odwiedzin dwóch szlachty z okolicy, sąsiadów P. Wojskiego, którzy w sporze pomiędzy sobą, jak to mówią, *de lane caprina*, wynikłym, za rozjemcę go sobie, sędziego i pojednawcę zapraszają; co daje poznać wpływ czcigodny, jakiego P. Wojski pomiędzy sąsiadami swoimi używa. Dwa te prostackie oryginały, chociaż się tylko na chwilę ukazują, nader wiernie z natury są odmalowane, samiśmy nieraz takich widywali i słyszeli to ustawiczne *Musu Dobrodzieju*, które jeden ze szlachty co chwila, odzywając się do P. Wojskiego powtarza. Przestrogi dane powaśnionym przez ich zacnego kompromissarza, zasługują tu na umieszczenie, w nich bowiem cel zbawienny, dążenie i duch dzieła naszego autora, w pięknem się bardzo świetle wydaje:

«Nie, bracie! *prerogatywa* szlachecka nie na tém zawisła; łaskawy rząd teraźniejszy inaczéj ją uważa. Wiedząc on, iż klejnot szlachecki nabywał się przez przodków naszych na polu bitwy, za krew w obronie króla i ojczyznę wylaną, poważa i teraz

ich potomków. Nie pełnicie żadnéj osobistéj służby, nie płacicie pogłównego, a kiedy wyższych jeszcze żądacie przywilejów, umiejcież na nie zasłużyć. Wojskowa i cywilna droga stoi dla szlachcica otworem, szkoły dla przysposobienia młodzieży coraz się pomnażają: ochoty tylko i starania potrzeba, aby z tych dobrodziejstw korzystać. A waszeć chcecie, żeby *pieczone gołąbki same wleciały do gąbki.* Nie raz już to powtarzam, kochani sąsiedzi, pędzam i *exorcyzmuję*, ale waszeć jak śpicie tak śpicie. Kłócicie się tylko między sobą i pieniacie, póki do torby nie przyjdziecie.»

W drugiéj powieści poznajemy dom państwa Cześnikowstwa, sąsiadów blizkich pana Wojskiego. Jest to jawna sprzeczność i żywa, że tak powiémy, antyteza z domem porządnym, który w piérwszéj powieści nasz P. Władysław odwiedził. Gospodarz jest myśliwy, mało dbający o dobry ład w całym ziemiańskim zachodzie; ztąd też pomieszkanie jest niechędogie i do upadku nachylone, ogród zarosły, nakrycie do stołu nieschudne, wszystko po kapcańsku; żyd arendarz jest wyrocznią i piérwszym, niejako, ministrem właściciela: słowem znajdujemy tu wszystko prawie skupione w idealnym, że tak powiém, nieporządku, obrazie, co szlacheckie u nas majętności do stanu opłakanego przywiodło.

P. Władysław tu występuje czynnie, już przestaje bydź prostym tylko słuchaczem, jak u P. Wojskiego. P. Cześnikowa bowiem jest jego rodzoną wujenką. Poznanie się z nią, a nade wszystko z siostrami naszego młodzieńca, tkliwe jest i rozrzewniające, dobroduszném wylaniem się familijnéj czułości. Tu poznajemy starszą córkę państwa Cześnikowstwa, pannę Helenę, panienkę z wychowaniem, jakiegośmy się, w tak bezładnym domu bynajmniéj nie spodziewali. Wychowanie to swoje winna ona była pani Kasztelanowéj, dostojnéj dygnitarce w całym okolicznym okręgu, około któréj wszyscy drobniejsi właściciele ziemscy, jak planety około słońca, *ewolucye* swoje odbywają, i któréj, właśnie, tytuł znakomity, służy za tytuł dziełu *Autora Pana Jana ze Świsłoczy*. Panna Helena, zbiór skromności, delikatności, najczulszego przywiązania do rodziców i krewnych, niepospolicie ukształconego rozsądku i serca, przelewa te wszystkie piękne przymioty w swoje młode siostrzyczki, których jest nauczycielką. Poufałe zaznajomienie się brata z takiémi siostrzyczkami niezwłocznie następuje. P. Władysław staje się powiernikiem tajemnic najskrytszych. Dowiaduje się o skłonności P. Kapitana, sąsiada państwa Cześnikowstwa, ku swojéj siostrze, którego ona nie odrzuca, lecz ojciec przeciwko niemu ma swoje niektóre uprzedzenia, podżegane i utrzymywane plotkami domowych darmozjadów, miano-

wicie zaś P. Łukasza rezydenta, jakich jeszcze niedobitki, gdzie niegdzie, po domach wiejskich, napotkać można. Uprzedzenia te wszakże spełzają i nikną za przyłożeniem się uprzejmości gościnnéj P. Kapitana, który zjechawszy się na łowach, zapewne z planu, z P. Cześnikiem, i zaprosiwszy go do siebie pozyskuje serce tego poczciwego dziwaka, rozbrojonego do reszty dyplomatyczną strategiją kobiét, w czasie obchodu imienin swoich, tak, że mu córkę w małżeństwo przyrzeka. Zaręczyny mają się urzędownie odbydź w domu zacnéj protektorki P. Kasztelanowéj.

W nader skróconéj treści wyłożyliśmy tu drugą naszego autora *powieść*. Nie mogąc dla szczupłości miejsca przytaczać więcéj scen i opisów całkowitych; to tylko powiémy, że ta powieść pełna jest ruchu i życia, nader ludna, a w téj ludności rozmaita: obchód imienin pana Cześnika po mistrzowsku jest skréślony. Co tu oryginałów! jaki żywy obraz ubiorów i obyczajów! cały świat parafialny! Słowem pokazał tu autor zgłębioną znajomość miejscowości kraju i serca ludzkiego, którego się drobne wzruszenia i cieniowania uczuć, w rozmowach, oświadczeniach a ledwo nie w każdym ruchu sprezentowanego tu sąsiedztwa, przebijają.

Poznawszy sam tylko ledwo początek dzieła, w którymeśmy główniejszéj osoby jego, pani *Kasztelanowéj*, nie mieli zaszczytu dotąd oglądać, nic o jego planie i ukła-

dzie wyrzec nie możemy; zdaje się wszakże, iż ta kompozycya należeć będzie do jednego z Panem *Podstolim* Krasickiego rodzeństwa, i tyle co dzieło arcybiskupa warmijskiego, przyjemności pożytecznéj czytelnikóm przyniesie.—W literaturze każdego narodu, książki prawdziwie dobre, w jakimbądź przedmiocie, rzadkiém są zjawiskiem, ci zaś ich autorowie, którzy z powodzeniem umieją opisywać rzeczy domowe, na szczególniejsze uwielbienie zasługują: *meruere decus ausi celebrare domestica facta.*

Tom drugi zawiéra w sobie dwie sztuczki dramatyczne, wolnie z P. Scribe przełożone: 1) *Piérwsza miłość czyli pamiątka dziecinności, Komedyo-Opera, w jednym akcie.* 2) *Stary Pan-Młody, Komedyo-Opera, we dwóch aktach.*—Oba te dramata, uważane pod względem talentu wynalezienia i kompozycyi poetyckiéj, w oryginale nawet, arcy-małéj są wartości. Łaknąca zawsze nowych rzeczy, podupadła dziś scena francuzka, takie i podobne im niedonoszone płody, usprawiedliwić tylko może. Szkoda rzetelnie, że taki wierny i oryginalny malarz obyczajów krajowych, jakim jest *Autor P. Jana ze Świsłoczy*, kopijowaniu ladajakich obcych obrazków czas i talent swój rzadki poświęcił: bo to ani dla repertoryum sceny, ani też dla literatury polskiej, za pomnożenie jéj skarbów uważać się bynajmniéj nie może, wtenczas, kiedy oryginalne autora dzieła są jéj rzetelną ozdobą.

Styl tak w oryginalnych pismach jak i w przekładach, jest łatwy potoczysty swobodny, słowem do przedmiotu najstosowniejszy. Możnaby w nim wytknąć niektóre prowincyonalizmy litewskie, ale te w ustach ziemian tutejszych większy jeszcze charakter prawdy fizyognomjóm ich nadają.

Błędy pisowni, prześlepienia (jak np. na str. 66 tomiku piérwszego r. 1845, w którym *Swada polska*, wydrukowana zamiast 1745), i podobne tym drobniejsze grzechy, nie powinny bydź przypisywane autorowi, bo się dzieło nie drukuje pod okiem jego. Wydawcy i korrektorowie drukarscy, zgruba przynajmniéj mechaniczniejsze prawidła gramatyk znać powinni, a przed wszystkiém wyćwiczyć się w cierpliwości, bez któréj *korrekty* poprawnie wyczytywać niepodobna.

BIBLIOGRAFIJA DAWNA POLSKA.

Pisma niektóre treści duchownéj, w Sankt-Petersburskiéj Cesarskiéj *bibliotece opisane, o których* Bentkowski *tudzież dalsi bibliografowie zamilczeli* (*).

— 39. Cantional albo Ksiegy chwał Boskych, to iest Piesni Duchowne Kosciola świę-

(*) Ob. Tomik trzeci *Wizerunków* str. 169 i nast., Tomik 8 str. 137 i nast., Tomik 11 str. 134., Tomik 14 str. 137 i nast.

tego, podług Ewangelici y prawdziwego pisma świętego słożone A teraz s Czeskiego języka na Polsky, przez Xiedza Walentego z Brzozowa nowo przełożone, A ktemu od inśych včonych mężow z wieliką pilnością przeznane, ku chwale samemu Panu Bogu w Troicy jednemu, A ku pomocy, służbie, y poćieśeniu Chrześćiańskiemu Roku Pańskiego MDLIIII (1554). W pierwssei Czesci xiag tych Mas Spiewania, o pierwsem przyśćiu Syna Bożego z Nieba, y o jego w Ziwoćie Mariei ćistei a nigdy nienaruśonei Pannie Wćieleniu. Potem też y owśistkych Roćnich Czasoch, podlug Tytulow Poćawśy od Adwentu, Aż do Troice świętei, A poten o inśych rzećach aż do końca Xiąg. W Krolevveu Pruskiem. fol. 138 ark. w ternionach (poszytach po 3 ark.). Na odwr. nad herb. Alberta Xiąż. Pruskiego. *Carmen elegiacum* w wier. 14. Przedmowa do Zygmunta Augusta w której Alexander Impressor mówi wczas i niewczas o teologii, *o trudnościach y cięszkościach* królewskich, zdaje sprawę ze swojéj pracy: «Po wydrukowaniu tedy N. Królu Testamentu nowe na polskie, żądali mie za to niektorzy pobożni ludzie a chrześćianscy panowie z Polski, abym tych rzećy nawięcei drukować nieprzestawał — chcąc ia żądaniu ich dosyć uczynić Cantionał chwał Boskich na co i ci Panowie z Polski zezwolili umyśliłem wydrukować a učyniwszy s Xiędzem Walentym z Brzozowa umowę aby j s Sczeskiego języka na polski prze-

łożył co i s chucią uczynił a iam zaś z wielkim moim nakładem a prawie domostwa uszczerbieniem wydrukował.» — Pod koniec mówi: «który Cantyonał ofiarowany rać W. K. M. chociaż nie od znaiomego prziiąć.» Podpisał z Królewca 15 Marca 1554. r. Paginacya, jak po wielu dawniéj drukowanych książkach tak i tu się zachowuje u góry każdego listu jest litera alfabetu a przy niéj liczbą rzymską oznaczona ilość listów. Tu są poszyty z 9. ark. na jednę głoskę signatura górna PX. dolna Yyiiij. Na końcu: Roku od Narodzenia Pana Jezu Christa Syna Bozego Zbawiciela świata MDLIIII. Wydrukowan a dokonan jest tento Cantional, we czwartek po św. Grzegorzu i t. d. To ist dzień 15. Marca w Królewcu Pruskim przez mię Allexandra z Augezda z Zwojenic, Impressora z Litomyśla z wielką pracą i pilnością a barzo wielikym nakładem, naprzod ku tści a ku chwale samemu iedzinemu wiećnemu Bogu w Troicy bogosławione, Także i ku posłużeniu a pocieszeniu wśech wierzących a miłuiących rodzai i ięzyk Polski.» — Herb na tarczy niedzwiedź szarpie łańcuch, drugi w koronie. — Jest to dzieło zasługujące na obszerne opisanie we względzie języka, poezyi, pisowni i zalet typograficznych. Wszędzie dodane noty muzyczne prawie na każdym arkuszu.

— 40. Pogrom Lewartowski t. i. O wygraney X. Adryana Radzimińskiego S. J.

Theologa Disputacyey, którą r. 1592. dnia 13 i 14 Stycznia z Ewangeliki y Nowokrzczeńcami iawnie miał w Lewartowie. Rozmowa Katholika, Nowokrzczeńca, Ewangelika i Lutheranina; przez Grzegorza Piotrowskiego. W Krakowie, w Druk. Jakuba Siebeneychera. R. P. MDXCII (1592) 4° pp. po iedney stronie liczb. 19. — Wiele rzeczy ciekawych jest w tey rozmowie. Dysputacyą odbywał Adr. Radzimiński w towarzystwie Rektora Łaszcza i Szafarzyńskiego Jezuitów — Ze strony Nowokrzczeńców głównym zapaśnikiem był Woyciech Callisius Rektor szkół Lewartowskich, o którym Piotrowski Grzegorz na kar. 3.

Calisius zaś Rektor Chrystianin prawy,
Naydziesz go pogotowiu do iakiey chcesz sprawy,
Jezuitom znaiomy owak prawie dobrze,
Boć ie w swoiey Akciey obramował szczodrze,
Którą przed trzema laty w Chmielniku uknował,
A Woidowius w *Niemcech* kryiomkiem drukował.

I znowu:

Chłop to bracie ze wszystkim nauka w nim stateczna,
Mowa grecka, łacińska i polska bezpieczna, i t. d.

Na kar. 9:

Tákże on miły *Eques Polonus* wędrował?
Nos zwiesiwszy do kąta, co wiele mędrował
W swey pierwszey oracyey, którą był kłamliwie
Opisał Jezuity prawie niecnotliwie, i t. d.

A więc *In Jesuitas-Equitis Poloni actio prima*, która tyle wrzawy w swoim czasie sprawiła, wyszła z pod uczonego pióra Callisiusa. — Był więc na téj dysputacyi Jan Niemojewski, Czechowic, Żytno, Nikołaj Teteniewski, Socyn, Statorius. — Ze strony Ewangelików był Grzegorz Jankowski Minister Zboru Lewartowskiego y Franc. Minister Zboru Kurowskiego (uczony). — Nie szukaj w tym poemacie prawdy, tym mniéj poezyi, ale i takie ramoty służą czasem do wyjaśnienia jakiego szczegółu. Przytomnych na téj dysputacyi tak wymienia: kar. 5.

Naprzód Żytno Mikołay Mistrz stary Krakowski,
Podle niego Czechowic Papież Nurzałowski,
Przed którym ksiąg niemała gromada leżała —
Znać że mu iuż na starość pamięć ubieżała,
Więc Brzeźnicki staruszek, po nim Otwinowski,
Przy nich z brodą kępiastą czarną Siestrzykowski,
Jużem Niemoiewskiego z drużyną przepomniał.
Między niemi gorąco kąpan Lubieniecki, i t. d.

Karta 6. Z PP. świeckich: Firley Wda Krak., Piotr Firley syn iego, Paweł Orzechowski, Piotr i Paweł Czerny, Ligęza, Nakoniec Jan Koniecpolski:

. . . . Człowiek nauczony,
We wszech naukach, ięzykach przednieyszych cwiczony,
Słyszę nietylko grecki ięzyk i łaciński,
Ale snadź doskonale umie Palestyński.

— 41. Psałterzyk Boga Rodzice N. P. Maryey Polskiego Królestwa Patronki na podobieństwo psałterza od ś. Bonáuentury Kard. stosowánego ku teyże czci Matki Bożey Testosowánego ku teyże czci Matki Bożey Te- raz Rythmem polskim podany, w druk przez X. Andrzeia Malskiego w Żołkwi Kazno. Ordinar. — W Krakowie u Piątkowskiego. R. 1641. 8º min. (*Sign.* A—X.) ark. 21. Na odwr. wizerunek Matki Boskiéj. Dedyk. do Anny na Ostrogu Chodkiewiczowéj Wojew. Wil. Het. W. W. X. L. Powodem autorowi było do naśladowania z łac. tego dzieła, że: «Za pamięci też iuż czasów naszych podał ktoś Polak w druk skrócony po pięci rzędzików każdy psalmik.» Co się mniéj stosownym Malskiemu zdało. Poezyi tu niewiele, czasem jednak są piękne pieśni, zwłaszcza okraszone wspomnieniami narodowémi, albo prośbą o pomoc w ucискach ówczesnych ojczyzny. — Pieśń I. Części II. jest najpiękniejsza, ale autor wziął ją prawie żywcem z Jana Kochanowskiego. — Zawsze to jest lepsza robota, w pismach podobnego rodzaju, język wszędzie czysty i dosyć poprawny.

— 42. Nauka y Utwierdzenie o tym z czym się ma pokazać y popisać przed Maiestatem Bożym człowiek Krześciáński, niemocą złożony, aby niebył zawstydzony. Zebrána z pismá świętego przez Stanisłáwá Sudrowiusa Ministra Zboru Wileńskiego. Druko-

wano w Wilnie u Jana Kárcaná. R. P. 1598. in 8vo. str. n. I. 148. Po naucc o przygotowaniu do dobréj śmierci, następują piosnki pospolite, między niémi dobra pieśń o głodzie Litewskim.— Daléj psalmy Dawid., których niedostawa w Katechismie. (Ob. Wizer. tomik XIV, str. 140, pod nr. 38.) w liczbie 30. — Sudrowius był autorem tego dziełka, wszędzie styl dobry, polszczyzna czystą. Między piosnkami pospolitémi znajduje się najwięcéj z Kancyonału Walentego z Brzozowa wyjętych, cokolwiek poprawionych. — Na exemplarzu, który mamy przed sobą, zapisano pismem: *XVII. w.: De Stanislao Sudrovio habet quaedam Koialowicz in Miscellan. rer. eccl. Litw. p. 70. 71. ubi de Catechismo eius singularia proferuntur.*

— 43. Ustawa, albo Porząd Kościelny y Ceremonie yako w nauczaniu słowa Bożego y podawaniu świątości w Koscielech Xięstwa Pruskiego ma być zachowány, z niemieckiego ięzyka na polski pilnie przełożony, przez Hieronyma Maleckiego, Plebana Leckiego. R. N. P. MDLXXI (1571). 4to. kart liczbowanych 133. Na końcu odezwa autora do czytelników, w któréj protestuje przeciw przyganiaczóm.—Na samym końcu: w Królewcu, znowu drukowano przez Jana Fabriciuszá. R. 1615.—Więc to jest druga edycya. Musiał bydź Malecki Ewangelik

(*Luter*), bo poprzedza to dziełko przemowa Biskupów Samlandzkiego y Pomezańskiego, gdzie mówią: «Przełoż z bezecnémi Kalwinianami y błądołkami,» i t. d. Jest to *Agenda*. Druk gocki.

DZWON WIELKI

Kościoła Swięto-Jańskiego w Wilnie.

(*Wyjątek z gazety*, KURYER POLSKI, Num. CCIV. Anno 1740) (*).

Z Wilna d. 23. Octobr. W Uroczystość B. JANA Kántego Doktora w Akádemii Krakowskiey y Pátrona Akádemii Wileńskiey *Societatis JESU* odprawiła się w Kośćiele solenna Introdukcya Nabożeństwa do Kościoła Akademickiego Swięto Jańskiego *S. J.* Czwartoletnią po pożarze prywatą ogołoconego, á teraz *ad decorem operosâ Artificum manu* przywroconego, ná ktorą Nábożeństwa reassumpcyą *convocatus populus* iuż to rezonuiącą ná Wieży Kápelą, iuż nowym Dzwonem, ktory w Krolewcu odlány 142. Kámieni Berlińskich,

---

(*) Zbiór gazety *Kuryera Polskiego* mieliśmy sobie użyczony z biblioteki szczorsowskiéj, JW. hrabiego Adama Chreptowicza, zamożnéj w ciekawe pamiątki pismiennictwa polskiego.

oprocz osady y serca wáżący. Dnia wczorayszego od Jmći X. Horaima Suffragana Żmuydzkiego benedykowany, tegoż dniá záwindowany ná Wieżą *in suo loco* iest osadzony. Inskrypcye ná tym Dzwonie te są:

In honorem Sanctosanctae Trinitatis
Quartó ab incendio Vilnensi Annô
Fudit me Regiomontanus
Procuravit Gratianus
Sede Apostolica post Clemente XII. vacante.
Rege AUGUSTO III.
Episcopo Michàël Zienkowicz.
Coadjutore Josepho Sapieha,
Rectore Josepho Sadowski,
Curá Joannis Wołodkowicz Praefecti Templi
et Procuratoris Collegii Academici.
Anno, quo: IgnIbVs attrItae nIgro
DepVLVere VILnae
ErIgor aprICos VIVere DIgna DIes.

Itē *AEnea sum moles et pondus inutile Turri,*
Sed si me moveant, haec patro corde tonans:
Convoco, restingvo, plángo, celebro, jubeoque;
Christiadas, flammas, funera, festa, preces.

Fudit Johan Jacob Dornman.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU SZESNASTYM ZAWARTYCH.

Stronica